Nr. 4. Lwów — Czwartek dnia 5 Stycznia. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują:
Biuro dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Ważnego przy ul. Czarnieckiego l. 2.
„ przy ul. Słowackiego (obok łaz. Diany)
„ Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 6.
„ Niżałowskiego Hotel Żorża.
Prenumerata z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1.10 Półroczna złr. 6
Kwartalna „ 3.— Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENA OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 25 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Dziś: św. Telesfora — Jewhenyi | Jutro: Trzech Króli — Rożd. Chrysta | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca g. 7 m. 58, Zachód „ 4 „ 14 | Długość dnia g. 8 m. 16, Przybyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 4 stycznia.

Z nowym rokiem wstępuje Austrya w nowy okres stosunków parlamentarnych. W Wiedniu obradują właśnie przywódzcy trzech największych stronnictw, t. j. Koła polskiego, klubu Hohenwartha i lewicy z prezydentem gabinetu nad programem, a za dni kilkanaście przyjdzie ten program pod plenarne obrady tych stronnictw. Rzućmy teraz okiem na miniony okres całorocznej pracy parlamentu austryackiego, a przekonamy się, że dał on wprawdzie pod względem politycznym negatywne rezultaty, natomiast bardzo dodatnie na polu pracy prawodawczej. Mało który parlament załatwił w ciągu jednego roku tyle spraw tak wielkiej doniosłości, co parlament austryacki w roku 1892. Ustawy uchwalone w tym roku są jakby drogoskazami dla ekonomicznego rozwoju monarchii na całe lat dziesiątki. Wystarczy tylko wymienić traktaty handlowe, wielkie budowle wiedeńskie i regulacyę waluty. Te trzy wielkie sprawy załatwiła Rada państwa od lutego do sierpnia. W sierpniu ustała jednak jej siła twórcza i za ponownem zebraniem się w listopadzie miał parlament nasz już znamiona wewnętrznego rozprzężenia, które doprowadziło do znanej kryzis i do rozbicia owej większości, o której sile twórczej najlepsze świadectwo dają wymienione wyżej sprawy. Obecnie skierowane są wszystkie usiłowania męża, kierującego nawą Austryi, ku temu, aby wyrwać parlament z wiru walk partyjnych i zaprządz go do pracy dla dobra ogółu. Nawa państwowa nie powinna bowiem być igraszką kaprysów lub przypadków parlamentarnych, a podmuchy radykalizmu nie powinny wstrzymywać jej biegu, ani go zmieniać. Oto jest cel doniosłej akcyi, rozpoczętej przez hr. Taaffego, a z nowym rokiem wprowadzonej w fazę urzeczywistnienia przez zaproszenie przywódzców stronnictw do zbadania programu, ułożonego na Radzie ministrów pod przewodnictwem Monarchy. Dużo już było programów w Austryi, stronnictwa i rządy występowały z nimi, ale często programy te już po kilku miesiącach upadały jak zwiędła liście z drzew, i w historyi nie zostawiły śladu. Były to jednak przeważnie programy stronnictw, obecny program ma być całkiem inny, — ma on skupić wszystkie umiarkowane stronnictwa. Przystępując do większości, muszą one usunąć na bok swoje specyalne życzenia i postulaty, a to dlatego, aby ta większość nie była narażona co chwilę na rozbicie, lecz aby miała dość siły do popierania ogólnego dobra na gruncie kwestyi i interesów państwowych.

Leży przed nami stos zagranicznych dzienników z noworocznymi artykułami, nastrojonymi na ton minorowy. We wszystkich powtarza się ta sama zwrotka o widocznem zdziczeniu obyczajów, o upadku moralności, o straszliwym rozwoju nienawiści rasowej i nienawiści warstw ubogich do majętnych, o zaniku energii obywatelskiej, wreszcie o pessymizmie, który jak grzyb pokrywa dusze. Na co ten nas zasłużył rok ubiegły? — tylko na bolesną skargę. Co on w spadku zostawił swemu następcy? — tylko ponure przeczucie jakiejś katastrofy, która nic nie wstrzyma.

Tak jęczą zagraniczne dzienniki. I trzeba przyznać, że prawdą jest, co piszą, szkoda tylko, że się na nią zdobyły na jedną chwilę. Gdyby zamiast takich jęków raz na rok, codzień pamiętały, że one są niemal jedyną strawą dla ducha narodów i strawę tę podawały zdrową, uczciwą, moralną; gdyby ustawicznie nie jątrzyły, nie szczuły silnych na słabych, nie szydziły z wiary, nie propagowały bezwyznaniowości, nie były narzędziem szwindlów takich, jak panamski, toby może jęczeć nie potrzebowały, a przynajmniej ich noworoczne utyskiwania nie trąciłyby faryzeuszostwem. Szerzyły wszelką moralną zarazę, a gdy po niej przyszedł upadek materyalny, gdy jedni powstali na drugich jak głodne wilki, a zwłaszcza gdy antysemityzm zahuczał i kły ostre pokazał, wtedy dopiero dzienniki krzyknęły: „nous sommes en décadence!" — upadamy! w przepaść leci cywilizacya!

Gdy mówią o wielkości, albo upadaniu narodów, zawsze zapominają, że przyczyny tych wypadków są czysto moralne i że dla wytłómaczenia owych zjawisk potrzeba wracać w głąb czasów ubiegłych, do pewnych stanów ducha, których następstwem widocznem i nieuniknionem są zmiany i przewroty realne, przerażające wyobraźnię ludów. Kto nie chce upadku swego społeczeństwa, niech przeniknie się prawdą, że żaden naród nie może inaczej utrzymać w swem łonie porządku, dojść do wolności i wielkości swej bronić, jak wiekuistą, nieustanną i dobrowolną ofiarą interesu prywatnego na rzecz publicznego dobra; niech pamięta, że lekceważenie wiary i pogarda sprawiedliwości jest zarodkiem zabójczej choroby narodu.

Zepsucie sumienia publicznego wsiąka w społeczeństwo niepostrzeżenie, jak wilgoć z murów wsiąka w kości. Zgubne maksymy, owe różne „racye stanu", stosowane zrazu tylko do polityki, wkrótce ogarniają także interesa prywatne; punkt honoru, — powiedzmy lepiej: punkt cnoty cofnięty w jednem miejscu w imię racyi stanu, wnet poczyna się cofać na całej linii. Uwieńczone powodzeniem szalbierstwo, oszustwo, gwałt, pastwienie się nad bezbronnymi zowie się pospolicie zręcznością polityczną, ale przez resztę wstydu robi się zastrzeżenie, że jeśli moralność nie istnieje w polityce, to jednak musi panować w innych dziedzinach, zwłaszcza w interesach prywatnych. Wkrótce jednak logika bierze górę i zaczynamy bardzo pobłażliwie sądzić prywatne naśladownictwa czynów, podyktowanych politykom „racyą stanu." W imię wolności osobistej usunięto ze społeczeństw wszystkie reguły moralne, [illegible] kołatająca się jeszcze, jest tylko spóźnionym owocem tradycyi już wysychającej; jest zamierającem echem bardzo dalekich i coraz dalszych [illegible] bo, utraciliśmy potrzebne do tego siły i wciąż usuwamy źródło ich, zawsze w imię osobistej wolności nieograniczonej niczem, więc ani dekalogiem, ani obowiązkiem społecznym. Chciwość bogactw, żądza używania, wieczny pościg za nowemi wrażeniami — oto, co nas jedynie porusza. A do wszystkiego tego bardzo się przyczyniła prasa, będąca codzienną duchową strawą społeczeństw. Więc jej noworoczne skargi nie współczucie, ale oburzenie budzą.

Jedno [illegible] jest prawdą: katastrofa wojenna, jeśli się nie oddala, to przynajmniej nie zbliża. Jest więc czas do naprawek publicznego sumienia, jeśli zepsucie jego naprawdę zaczyna przerażać.

A ta katastrofa wojenna utkwiła w niejednym z powodu sprawy panamskiej. Zawiódłszy się na Francyi, jako na sile zdolnej do rozbijania środkowej Europy, Rosya coraz wyraźniej przybiera postawę pokojową. Z Petersburga donoszą, że p. Giers, któremu kazano udawać chorego i już wyprawiono do Włoch, otrzymał wezwanie do powrotu na stanowisko kierownika spraw zagranicznych. To jest pierwszą i bardzo silną oznaką umiarkowania, które widocznie zapanowało nad Newą. Drugą oznaką jest zapowiedź udziału wielkiego księcia Sergiusza, brata carskiego, w ślubnych uroczystościach w Sigmaringen. Jak wiadomo, car był nadzwyczajnie przeciwny małżeństwu swej siostrzenicy, księżniczki Maryi Edynburskiej, z rumuńskim następcą tronu. Gniew cara na rumuńską dynastyę był tak wielki, że podczas jubileuszu rządów króla Karola jeden tylko dwór rosyjski nie przysłał życzeń jubilatowi. Stosunki między Bukaresztem a Petersburgiem były zupełnie popsute, z czem się wcale nie ukrywano; mówiono nawet otwarcie, że Rumunia stanie się jeneralnem gubernatorstwem rosyjskiem. Po tem wszystkiem król Karol, ani królowa angielska, ani nawet matka narzeczonej nie starali się o udział rosyjskiej dynastyi w ślubnych uroczystościach. Car z własnego popędu polecił bratu Sergiuszowi udać się z żoną na to wesele i na niem reprezentować carską parę. Jest wreszcie jeszcze jeden objaw zabiegów rosyjskich o gruntowną zmianę postawy. Carewicz miał pojechać do Berlina w końcu stycznia. Już sama zapowiedź tej wizyty była faktem znamiennym, pomyślnym dla pokoju. Ale oto, za długo było Petersburgowi czekać końca stycznia, bo mu znać bardzo pilno otrzepać ze swego obuwia kurz przyjaźni francuskiej i zbliżyć się do środkowej Europy. Więc zapowiadają z Petersburga, że carewicz może w tych dniach zawita do Berlina, skąd znowu donoszą, że w tamtejszej rosyjskiej ambasadzie czynią przygotowania na przyjęcie carewicza, który w tej ambasadzie, jako niby gospodarz domu, da wielki bal dla świata stolicy niemieckiej. Jakże to wszystko niepodobne do tego, co było jeszcze kilka miesięcy temu! Różnica wystąpi jeszcze jaskrawiej, gdy przypomniemy, że zamiast chłodno traktowanego Schweinitza, zajął stanowisko ambasadora niemieckiego carski ulubieniec, częsty gość w jego domu, jenerał Werder. Zdawać się może, iż między Rosyą a Niemcami wracają stosunki z czasów przed kongresem berlińskim. To zrobił skandal panamski.

Oczywiście, jest to przyczyna na razie bardzo silna, lecz nietrwała choćby dlatego, że w gruncie rzeczy niepolityczna. Dowierzać rosyjskiemu zwrotowi nie można. Zmieni się znowu wszystko, skoro tylko Francya się ustatkuje. Więc dlatego, pomimo dobrych widoków na pokój, rząd niemiecki trwa przy swym militarnym projekcie i cesarz Wilhelm podczas noworocznego przyjęcia jenerałów wyraźnie zaznaczył, iż projekt ten przejść musi z tym, albo z innym parlamentem. Po tych słowach cesarskich stanęła w Berlinie na porządku dziennym kwestya rozwiązania parlamentu i nowych wyborów, — kwestya życia lub śmierci dla umierających stronnictw: liberalnego i wolnokonserwatywnego, których główną racyą bytu było wysługiwanie się Bismarkowi.

KORESPONDENCYE.

Londyn 26 grudnia.

Podczas świąt Bożego Narodzenia w życiu duchowem Anglii następuje zupełna cisza... Zgromadzenia i meetyngi ustają, nawet kółka maszyny wiecznie ruchliwej, zwanej polityką, zatrzymują się na chwilę. Jednem słowem ze stanowiska dziennikarskiego możnaby powiedzieć, że „nic się nie dzieje", zresztą, gdyby się nawet działo coś, przeszłoby niepostrzeżenie, gdyż każdy prawdziwy Anglik w dzień Bożego Narodzenia, zajmuje się przedewszystkiem czytaniem biblii i.... jedzeniem. Bo Anglicy w ogóle jedzą wiele zawsze, a już chyba najwięcej na Boże Narodzenie. Jeżeli więc jeszcze przytem przypomnimy sobie, że tu się w święto nic nie gotuje, możemy sobie wyobrazić, co za góry mięsa, pieczywa i w ogóle jadła i morza porteru przygotowuje się na ten czas.

W pierwszy dzień świąt do Craig's-Court ciągnęli długim szeregiem żebracy, jak u nas na odpust. Tysiąc ich przywlokło się ze wszystkich stron Anglii do Londynu na t. zw. Christmas doles urządzone przez królowę, jestto tradycyjne rozdawanie jałmużny w gotówce. Rozdziałem darów kierował wielki jałmużnik królowej.

Zanim się wszystko uspokoiło i ułożyło do obchodu świąt, mieliśmy tu na Trafalgarze manifestacyę „robotników pozbawionych pracy". Niejaki M. Backhert zwołał zgromadzenie, które się zupełnie nie udało, przybyło bowiem nanie zaledwo 600 robotników, a wśród nich znalazł się nawet jeden zuchwalec, który Backertowi i jego towarzyszom rzucił w twarz zarzut, że są po prostu komedyantami, że prawdziwie biedni robotnicy z ich manifestacyami nie mają nic wspólnego. P. Backert jednakże, ufny w swą wielkość, postanowił urządzić pochód do City, sądząc, że po drodze zbierze się więcej robotników, ale pomylił się, bo tylko wśród uliczników obudziło się wielkie zainteresowanie. Policya trzymała się na uboczu, dopiero kiedy już demonstranci dochodzili do środka City, zastąpił im drogę szereg konstablów, na ich widok demonstranci uciekli, a najprędzej p. M. Backert.

O wiele dowcipniejszą manifestacyę urządzili robotnicy z dzielnic południowych, rzeczywiście nie mający pracy. Oto porozlepiali po rogach ulic następujące ogłoszenie:

„My, robotnicy, pozostający bez zajęcia w południowych dzielnicach Londynu, uprzedzamy zarząd Camberwellu i innych obwodów stolicy, że jeżeli wkrótce nie będziemy mogli stać się użytecznymi przez pracę, zaopatrzymy się samowolnie w narzędzia, złożone w składach i zaczniemy w całej południowej części miasta reparować ulice i chodniki, które z powodu niedbałości władz znajdują się w najgorszym stanie. Później będziemy się domagali zapłaty według cen praktykowanych".

Prawda, że bardzo otwarcie i bardzo wyraźnie? Dodać jeszcze należy, że jeżeli władze dopuszczą do tego, aby ci robotnicy sami sobie dali robotę, będą miały przeciw sobie całą ludność południowych dzielnic, bo bruki tam są rzeczywiście jeszcze gorsze niż w reszcie Londynu, który jest przecież sławny z okropnych porządków ulicznych

Tradycyjne dziwactwo angielskie, mające pewną cechę romantycznej rycerskości, nie przeszło jeszcze do historyi, owszem, dość często jeszcze spotyka się tu ludzi, których czyny sprzeciwiają się logice stosunków towarzyskich, trzymają się za to logiki serca, kryjącego się pod lodowatą powłoką.

Przed czterema laty, zmarł w swym zamku Wentnor na wyspie Wight, jeden z tego rodzaju dziwaków, lord Wiliam Edith Maud Mure Campbell, Randon Abney Hastings, hrabia Corcku, baron de Viry, Campbell, Manchline i Terrenzene.

Pisałem w jednym z dawniejszych listów o pewnym dziwaku lordzie, którego największą przyjemnością było podróżowanie na lokomotywie, otóż lord William był jego przeciwieństwem, bo czuł nieprzeparty wstręt do pary i ani koleją żelazną, ani parowcem nie byłby się nigdy i za nic w świecie puścił w podróż. Ktoby jednak sądził, że w obec tego usposobienia lord William siedział spokojnie w domu, tenby się bardzo pomylił, owszem podróżował on nieustannie, ale tylko końmi, albo żaglowcem. Ponieważ zaś teraźniejsze żaglowce są bardzo niewygodnie urządzone, lord Campbell, kazał w dokach londyńskich zbudować sobie okręt, przepysznie urządzony, co go kosztowało przeszło trzykroć sto tysięcy funtów szterlingów, czyli około czterech milionów złr i na własnym okręcie odbywał dalekie podróże, do Ameryki, Australii, miał zamiar nawet puścić się do bieguna południowego, ale śmierć mu w tem przeszkodziła.

Otóż podczas jednej z podróży do Ameryki, burza zdmuchnęła lorda z pokładu w morze i byłby niechybnie utonął, gdyby nie energiczna pomoc jednego z majtków Marcina Butchell, który z narażeniem własnego życia wydobył go z wody. Znalazłszy się znów na pokładzie, lord nawet głową nie kiwnął swemu wybawcy, tylko spokojnie poszedł do kajuty zmienić przemoczone ubranie. Wśród załogi zrobiła ta niewdzięczność jak najgorsze wrażenie, a Butchell tak się nią zraził, że kiedy statek przybił do portu nowojorskiego, opuścił tajemnie służbę na statku lorda i odtąd znikł bez śladu. Równocześnie lord William zjawił się u konsula angielskiego w Nowym Jorku i z niewzruszoną obojętnością mumii złożył u niego akt, mocą którego mianował Marcina Butchella jedynym spadkobiercą olbrzymiego swego majątku, zatrzegając sobie ścisłą tajemnicę co do tego postanowienia.

W trzy lata potem lord William umarł, a ponieważ nie miał dzieci, spadek po nim miał objąć brat młodszy Fryderyk Abney, gdy w tem wyszedł na jaw akt spisany przez nieboszczyka w Nowym Jorku. Wywiązał się proces, który się ciągnął całe cztery lata. Tymczasem ten, o którego chodziło, Marcin Butchell, przepadł jak kamień w wodę. Wreszcie po długich korowodach udało się władzom angielskim go odszukać w Meksyku gdzie utrzymywał... prosty szynk. Przed świętami Bożego Narodzenia tego roku zapadł w niepewnej tej sprawie ostateczny wyrok, na mocy którego meksykański szynkarz stał się nagle milionerem i dygnitarzem angielskim.

Nauka angielska poniosła niedawno ciężką stratę przez śmierć Ryszarda Ovena, znakomitego badacza przyrody i anatoma. Jako konserwator muzeum w „College of Surgeons" zestawił katalog muzealny, który stał się niezbędnym dla wszystkich, pracujących nad badaniem przyrody. Prace jego przyrodnicze i anatomiczne rozsławiły imię jego szeroko po świecie. Zwłaszcza jako jeden z najwybitniejszych w swoim czasie przeciwników Darwina, był Oven powszechnie znanym.

Jedyna instytucya na świecie, która nadaje tytuły doktorów muzyki, „Cambridge university Musical Society" z powodu pięćdziesiątej rocznicy swego założenia, którą będzie obchodzić w maju r. 1893, postanowiła mianować doktorami muzyki najsłynniejszych kompozytorów całego świata. Godność tę więc otrzymać mieli Brahms, Verdi, Maxymilian Bruch, Saint-Saens, Czajkowski, Boito i Grieg. Z tych jednakże dwaj pierwsi oświadczyli, że nie mogą przybyć do Cambridge dla odebrania dyplomu doktorskiego, Brahms dla braku czasu, Verdi z powodu podeszłego wieku. Inni zapowiedzieli już swoje przybycie do Cambridge, gdzie na żądanie „Musical Society" kierować będą osobiście koncertami lub przedstawieniami z ich własnych dzieł.

Wybory do Rady miejskiej.

Komitet, zawiązany z inicyatywy towarzystwa właścicieli realności, odbył wczoraj wieczorem poufne posiedzenie.

Zagaił je dyrektor szkoły kolejowej i właściciel realności p. Rybowski i w przemowie swej podniósł, że większość poważnych obywateli usuwała się wprawdzie w latach poprzednich od udziału w wyborach, w tegorocznych jednak nie może pozostać bezczynną, gdyż partya dotychczas rej w Radzie wodząca, skompromitowała stolicę zeszłorocznemi wyborami. Opinia publiczna osądziła tych ludzi i

---

16)

Z Chicago do Europy.

(Ciąg dalszy).

Podobnie jak dawniej w *Castle Garden*, tak teraz na wyspie, wysadzają wszystkich podróżnych 3 klasy, gdzie ich poddają ścisłemu egzaminowi tak co się tyczy zdrowia jak też i funduszów na dalszą podróż. Ludzi nie mających biletu kolejowego do miejsca przeznaczenia i bodaj kilku dolarów w kieszeni, zawracają najbliższym statkiem na powrót do Europy na koszt tej kompanii, która ich przywiozła.

Pułkownik oprowadzał nas po zabudowaniach wysepki, tłómacząc przeznaczenie tychże. Wszystko jest schludne, porządne, tak, że pierwsze przywitanie biednego wychodźcy na ziemi obiecanej jest wcale nie złe. W zakładzie są także urzędnicy Polacy, jednego z nich p. Niemojowskiego miałem przyjemność poznać, jako przyjemnego i pełnego poświęcenia młodego człowieka. Podczas bowiem cholery w przystani nowojorskiej, p. N. był jeden z pierwszych, którzy się dobrowolnie zgłosili do służby w kwarantannie.

Ellis Island jest bardzo malowniczo położona w samym środku górnej zatoki nowojorskiej, tuż w sąsiedztwie maleńkiej wysepki Bedloes J., na której wznosi się pomnik wolności. Właśnie kiedy bawiłem na wyspie, potężny hamburski parowiec o 2 śrubach „Augusta Wiktorya" przepłynął tuż obok ze szumem i hukiem, zawijając do przystani. Serce zabiło mi silniej, wszak na tym statku mam się za kilka dni puścić w wielką podróż przez burzliwy Atlantyk!...

V.

BROOKLYN.

Jakkolwiek pobyt mój w Ameryce liczył się już tylko na dni, a ja miałem do tego na głowie jeszcze kilka naukowych interesów, to przecież nie mogłem się oprzeć łaskawemu zaproszeniu deputacyi rodaków z Brooklyna, i obiecałem spędzić jeden dzień w ich szanownem towarzystwie.

Oznaczonego więc poranku przybyli po mnie delegaci w świątecznych strojach, i ruszyliśmy niebawem ku tej siostrzycy Nowego Jorku. Podróż nie trwa długo, gdyż potężny Brooklyn, w którym ilość mieszkańców dosięga już cyfry 900.000, jest po prostu dalszym ciągiem *empiry city* po wschodniej stronie cieśniny *East-River*, ale za to jest bardzo ciekawa, gdyż się przejeżdża przez jeden z najwspanialszych mostów całego świata.

Tuż koło poczty opuszczamy Broadway i za kilka chwil jesteśmy na moście, który już zaczyna wznosić się w górę ponad otaczające domy, zanim się jeszcze zobaczy wodę. Z każdą chwilą rośnie nasz zachwyt i podziw, już bujamy w górze, a głęboko u stóp naszych leży cieśnina morska ze swymi statkami, wysokie domy przybrzeżne maleją w obec ogromu mostu do rozmiarów dziecinnych budowli z klocków. Most wisi pomiędzy dwiema olbrzymiemi wieżami na 4 żelaznych linach o 15³/, cala średnicy, cała długość jego wynosi 2 kilom., a samo rozpięcie pomiędzy wieżami 1.595 stóp. Szerokość 85′ zostawia dość miejsca zarówno dla pieszych i wozów, jak też i dla kolei sznurowej, która bez przestanku przewozi podróżnych z jednej strony na drugą. Wysokość nad najwyższym poziomem wody morskiej wynosząca 135′ jest dostateczną, ażeby nawet średnim okrętom umożliwić przepływanie pod mostem.

Po wschodniej stronie mostu oczekiwała nas druga deputacya, która powitała mnie na ziemi brooklyńskiej imieniem tamtejszych polskich obywateli. Jedziemy więc przez miasto, najprzód do parafii św. Kazimierza.

Dziwna, że dwa sąsiednie miasta tak różny mają wygląd! Nowy Jork to ruch i życie, Brooklyn to cisza i spokój, tam międzynarodowy charakter miasta, tu typowy amerykański. Słusznie powiadają niektórzy dowcipnisie, że Brooklyn jest wielkiem nowojorskiem dormitoryum, jakoż rzeczywiście wiele tysięcy osób mających zajęcie w *empiry city* mieszka już to dla spokoju, już to dla większej taniości w Brooklynie.

Nie wiele tu ciekawego do widzenia. Ulice szerokie, znacznie czyściejsze aniżeli w Nowym Jorku, tworzą prostokątne kratki. Jest tu i *City Hall* z białego marmuru z jońskimi słupami, jest dość ładny gmach *Academy of Music* z cegieł, okazały *Municipal Building*, i kilka innych gmachów publicznych, ale i na tem koniec. Liczne kościoły, teatry i t. p. są przeważnie naśladowaniem nowojorskich budynków, jednakowoż w mniejszych rozmiarach.

Najpiękniejszą ozdobą Brooklynu jest prześliczny park t. zw. *Prospect Park*, obejmujący 550 akrów powierzchni, a przewyższający pod niejednym względem centralny park nowojorski.

Śliczne stare drzewa, kwieciste klomby, liczne fontanny i wielkie bo 61 akrów obejmujące jezioro składają się na bardzo przyjemną całość. Atoli największą ozdobą parku jest jego wysokie położenie. Cóż to za przepyszny widok dookoła! Z najwyższego miejsca, wzniesionego 186′ nad poziom morza, t. zw. *Lookout Carriage Concours*, widać *Highlands*, Palisady, Nowy Jork i okolice, — *Long Island* przystań zewnętrzną i wewnętrzną, Atlantyk i t. d. Eleganckie kioski (osobne dla dam, dla starców, dla dzieci i t. p.) zapraszają do spoczynku, na kwiecistej terasie nad jeziorem grają rozmaite kapele, na łąkach pasą się owce najszlachetniejszego gatunku, wśród drzew w zwierzyńcu biegają jelenie, sarny i daniele, szare niedźwiedzie mruczą w swych klatkach, a tysiące ptactwa wodnego ugania po jeziorze.

W tych to parkach broklyńskim i nowojorskim podróżny jeszcze nie ma sposobności irytować się tym amerykańskim brakiem gustu, i tem pastwieniem się nad kwiatami, które dalej na zachodzie, a zwłaszcza w Chicago tak bardzo razi obcego. Tam bowiem za szczyt ogrodnictwa uważają układanie z kwiatów napisów, herbów, psów, kotów, ptaków, w ogóle całej menażeryi. Wejdźmy n. p. do parku Waszyngtona w Chicago. Już same drzwi do parku najeżone są kwiatami, przedstawiającemi amerykańską flagę, ale to dopiero początek tych cudów, które nas czekają. Oto przed nami wznosi się olbrzymia kula ziemska, na której lądy i morza, a nawet równoleżniki i południki oznaczone są różnokolorowemi roślinami. Nieco dalej wielki zegar słoneczny, którego tarcza i cyfry godzinowe złożone są z kwiatów. Opodal, wśród zielonej murawy, portrety sławnych ludzi w 40-krotnem powiększeniu, olbrzymie buty, rękawiczki, karty do grania, koneweczki ogrodowe itp. wszystko misternie ułożone z kwiatów. Echeveria, Sedum, Oxalis i inne nadają się z powodu swych różnokolorowych kwiatów do tego najlepiej.

Yankies spogląda z dumą na te „arcydzieła" sztuki ogrodniczej, a europejski przybysz nie wie rzeczywiście, czy ma się irytować, czy też śmiać do rozpuku.

Na południowym krańcu parku przychodzimy do *parade ground*, wielkiego placu, na którym waleczna milicya wykonuje czasami swe ewolucye. Zwykle atoli widać tu młodzież, a nawet i starszych ludzi, oddanych z całym zapałem ulubionemu tutaj sportowi grania *base ball* (rodzaj gry w piłkę). Z parku prowadzi śliczny bulwar 210′ szeroki a 6 mil długi nad morze, gdzie podziwiamy wielkie doki. Tutaj znajduje się basen o 40 akrach powierzchni a 25′ głębokości, mogący więc pomieścić do naprawy najpotężniejszy statek atlantycki.

Polonia brooklyńska, której ma być 15 do 20.000, mieszka dość porozrzucana, skupiając się jedynie koło wspomnianego kościółka. Jest ona cicha, spokojna i nie prowadzi takich bezustannych domowych wojen, co Polonia nowojorska. Wprawdzie złośliwi Nowojorczycy twierdzą, że to tylko dla tego, ponieważ w Brooklynie nie ma polskich pism, i niechno by się jakie pokazały, to i oni wzięliby się za łby, ja jednakowoż sądzę, że tu stosunki nowojorskie chyba nigdy nie zapanują. Uważałem także, że tu znacznie mniej polskich salonów (szynków), niż w Nowym Jorku, fakt na każdy sposób bardzo pocieszający. Trzeba wiedzieć, iż taki salon ma w polityce amerykańskiej nieposlednie znaczenie, a salonista jest wpływowym człowiekiem, bo u niego robi się polityka przy wódce i piwie. Jednakowoż czego za dużo, to musi szkodzić, więc i za wiele salonów, tak n. p. jak w Buffalo, w polskiej części, gdzie co drugi dom jest salonem, nie szczególnie wpływa na stosunki miejscowe. Nieszczęsny zwyczaj „tretowania się" (częstowania się) wzajemnie wyciąga ludziom wszystkie pieniądze z kieszeni. Przychodzi obcy do salonu i wzywa wszystkich obecnych, których może po raz pierwszy widzi, aby z nim pili — odmówić nie wypada i niebezpiecznie. Piją więc, potem „tretuje" drugi, trzeci, dziesiąty, nareszcie nie mogąc lub niechcąc więcej pić, piją literalnie naparstkami, a salonista zawsze liczy jednakową cenę.

Prof. Dr. Emil Dunikowski.

(Ciąg dalszy nastąpi)

dała wyraźnie do poznania, że potrzeba nam innych mężów do sterowania losami gminy, mężów nietylko zdolnych, ale także bezinteresownych. Zarząd towarzystwa właścicieli realności, wezwany przez grono poważnych obywateli, rozpoczął więc niniejszą akcyę i zamierza zarzucić dotychczasowy wstrętny sposób przeprowadzania wyborów, ale przeprowadzić je uczciwie, jawnie, po męsku.

Po tej przemowie przystąpili wybrani do wyboru prezydyum.

Prezesem wybrano przez aklamacyą p. dra Stellę Sawickiego, wiceprezesami pp. Kazimierza Lewickiego i dra Ostrożyńskiego, sekretarzami pp. dra Kadyia i Welichowskiego, skarbnikiem p. Chrzanowskiego.

Dr. Sawicki objął przewodnictwo i udzielił głosu p. Lewickiemu, celem wyłuszczenia zasad, na których opierać się będzie akcya komitetu.

P. Lewicki skreślił dotychczasowy sposób przeprowadzania wyborów do Rady miejskiej, będący unikatem w swoim rodzaju. Recepta, wedle której wybory te sporządzano, jest tego rodzaju: cała inicyatywa wyborów wychodziła z łona ustępującej Rady. Wybierają komitet przedwyborczy ze 150 członków i w nim zasiadają prawie wszyscy członkowie dawnej Rady. Komitet ten bierze salę ratuszową w arendę i uchwala co mu się podoba. I w tym roku dzieje się ten sam manewr z okupacyą sali, której towarzystwo właścicieli realności nie mogło dostać na swoje posiedzenie, gdyż jest na cały tydzień już z góry zajętą. Komitet taki balotował tajnie nad kandydatami do Rady, co mówca uważa nie tylko za niewłaściwe, ale także za niemoralne. To też komitet realnościowy zarzuci ten sposób układania listy kandydatów, lecz nad każdym głosować będzie jawnie. Znanym jest także ten manewr, że lista wyborców układana przez komitet miejski, podawaną bywa do publicznej wiadomości dopiero w ostatniej chwili tak, że wyborcy nie mają nawet czasu zastanowić się nad nią gruntownie. Owóż i w tym kierunku pójdzie komitet realnościowy inną drogą i przedłoży swoją listę zawczasu, ułożenie zaś tej listy i przeprowadzenie akcyi wyborczej złożył w ręce mężów, którzy nie ubiegają się o mandat radziecki, których sąd zatem będzie bezstronny. Właściciele realności związani są najściślej z losami miasta i najbardziej odczuwają złą gospodarkę, im też najwięcej zależy na tem, aby ta gospodarka była dobrą. Uznają oni to, że postęp czasu wymaga wiele ofiar, ale żądają, aby ci, którzy szafują groszem miejskim, byli racyonalnie oszczędni. Przyszła Rada ma bardzo ważne zadania do spełnienia, to też potrzeba do niej wybrać mężów, którzy dają rękojmię, że zadania te rozumieją i wykonać potrafią.

Oto w przyszłym roku odbyć się ma w murach naszego grodu powszechna wystawa krajowa, jedyna polska wystawa na całym obszarze ziem polskich. Wystawa ta ma być popisem, cośmy zdziałali w ciągu ostatnich lat dziesiątek, dzięki temu, co otrzymaliśmy z łaski monarchy. Popis to zaszczytny, znajdujemy się bowiem w trudniejszem położeniu aniżeli inne narody, które urządzały ostatniemi czasy u siebie wystawy, n. p. węgierski, gdyż nie mamy zupełnego samorządu. Owóż ta wystawa nasza powinna wypaść jak najświetniej i rada miejska powinna zająć się nią całem sercem. W dalszym toku swej mowy podniósł p. Lewicki, że nasz statut gminny jest anomalią, w żadnem bowiem z miast austryackich nie wybierają co 3 lata całej Rady na nowo. Owóż należy dążyć do zmiany tego statutu, tak aby co 3 lata tylko połowa radnych była wybieraną, druga zaś połowa aby urzędowała przez sześć lat. Przemowę swą zakończył p. Lewicki tem, iż komitet tow. właścicieli realności nie będzie ani kupował głosów, ani kaptował agitatorów — ułoży on tylko sumiennie listę kandydatów, a ma nadzieję, że lista ta sama przemówi do przekonania większej części wyborców (Oklaski).

Na wniosek p. insp. Maly'ego uchwalono wybrać komitet wykonawczy, złożony z prezydyum obszerniejszego komitetu i z 30 mężów, wybranych na dzisiejszem zgromadzeniu. Wniosek ten przyjęto i wybrano do komitetu wykonawczego pp. Adamowskiego Tomasza, Andrzejowskiego Karola, Baczewskiego Leopolda, dr. Barącza Romana, Blautha Jana, Bogdanowicza Henryka, Domaszewskiego, Franza, Januszewskiego, ks. Hićkiewicza, Koeppla, Lewakowskiego Aleksandra, Lickendorfa, dr. Liliena, dr. Mańkowskiego Bolesława, Matiaszka, Maly'ego, dr. Mehrera, Nirensteina, Onyszkiewicza, Pendiuka, Podgórskiego Józefa, Rybowskiego, Rychtmana, Sołtysika, Sawrackiego, Stenzla, Szuchiewicza, Thulliego i dr. Wachtla.

Prof. dr. Ciesielski postawił wniosek, aby komitet ten wezwał w dziennikach wszystkich, którzy chcą kompetować o mandat radziecki, aby zgłosili swą kandydaturę do komitetu. Dotychczas bowiem nikt prawie nie miał odwagi otwarcie ubiegać się o mandat, lecz stawiano kandydatury za pośrednictwem znajomych. Wniosek ten przyjęto.

Następnym punktem porządku dziennego było zgłaszanie kandydatur, które odbędzie się na jednem z następnych posiedzeń. Wczoraj zgłoszono tylko jednę kandydaturę, mianowicie p. Rychtman postawił kandydaturę p. prof. Ciesielskiego, który jego zdaniem pracowałby rzeczywiście, a nie byłby tylko radnym od parady.

Przed zamknięciem posiedzenia polecił przewodniczący odczytać pismo nadesłane przez seniora ustępującej rady p. Apolinarego Stokowskiego. P. Stokowski zaproszony do udziału w obszerniejszym komitecie przedwyborczym oświadcza w tem piśmie, iż z powodu nadwątlonego zdrowia nie może wziąć w nim udziału. Zarazem porusza p. Stokowski myśl zawarcia zgody między istniejącemi komitetami, gdyż „zgoda buduje, a niezgoda rujnuje“. Wywiązała się więc dyskusya nad tem, czy w danym razie zawrzeć zgodę z jednym z istniejących komitetów czy też nie. Dr. Mańkowski przemawiał za tem, aby w zasadzie upoważnić komitet wykonawczy do wejścia w kompromis z innym komitetem, p. Rychtman sprzeciwił się temu, gdyż niektóre komitety na to tylko wdają się w układy, aby wywiedzieć się, co się dzieje w tym komitecie, z którym paktują. Układają one listy kompromisowe, a w ostatnim dniu ogłaszają całkiem inną listę, na której nie ma ugodowych kandydatów.

Sprawę tę uznano jako niedojrzałą jeszcze do powzięcia uchwały, poczem przewodniczący zamknął posiedzenie.

KRONIKA.

Lwów 4 stycznia.

Odznaczenia. Starszy zarządca salinarny w Wieliczce, Juliusz Heyda, otrzymał srebrny krzyż zasługi.

Kapitan I klasy artyleryi we Lwowie, p. Franciszek Bohatsch, otrzymał szlachectwo z przydomkiem Brandwall.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Lisku, rozpisała z terminem do dnia 31 stycznia konkurs na posadę nauczyciela kierującego w 2-klas. szkole w Lutowiskach.

Prezentę na opróżnione rz. kat. probostwo *regiae collationis* w Stanisławowie, nadało ministeryum wyznań i oświaty ks. Jakóbowi Kerichce, rz. kat. prob. w Podhajcach.

Władza duchowna odrzuciła ze względów estetycznych propozycyę zaprowadzenia elektrycznego oświetlenia w kościele św. Szczepana w Wiedniu.

Z Madrytu donoszą, że cesarzowa austryacka Elżbieta po krótkim pobycie w Walencyi, gdzie zwiedziła osobliwości miasta, wyjechała do Alicante.

Śluby zakonne. W kościele „Towarzystwa córek miłości Bożej“ w Wiedniu złożyło onegdaj śluby zakonne 30 nowicyuszek Towarzystwa.

Jenerał-gubernatorem wileńskim, mianowany został, jak donoszą z Petersburga, jenerał-lejtnant Orżewski, w miejsce dotychczasowego gubernatora Kochanowa.

Książę Meszczerskij, redaktor *Grażdanina*, skazany został na miesiąc aresztu za zniewagę, wyrządzoną w jego piśmie urzędnikom gubernii Semireszczeńskiej.

W czytelni katolickiej odbędzie się we czwartek 5 b. m. pogadanka ks. prałata Jana Gnatowskiego „O honorze“. Początek o godz. 7 wieczorem.

Główna wygrana losów miasta Insbruka w kw. 150.000 złr. padła na numer 37.665; druga wygrana w kwocie 2.000 złr. na nr. 15.751; trzecia w kw. 600 złr. na nr. 47.880.

Signum temporis. Baron Alfons Rotschild ofiarował na Nowy Rok milion franków miastu Paryżowi na cele dobroczynne.

† X. infułat Rybarski. Telegram doniósł już przedwczoraj o śmierci tego zacnego kapłana, proboszcza tuchowskiego. S. p. x. infułat Rybarski urodził się w Czarnym Dunajcu, seminaryum duchowne ukończył w Tarnowie, a potem odbył wyższe studya teologiczne w wiedeńskiej Akademii duchownej. Uzyskawszy święcenia, przez długi szereg lat przebywał w Tarnowie, jako profesor seminaryum i kanonik kapituły tarnowskiej. W podeszłym już wieku zatęsknił do cichego patryarchalnego stosunku pasterza do owieczek, porzucił Tarnów i objął probostwo w Tuchowie. Ciężkie miał zadanie. W Tuchowie, jak w całej dyecezyi tarnowskiej, panował podówczas suchy urzędowy duch józefiński, to też wiele, bardzo wiele pozostawało tam do zrobienia dla duchownego dobra parafian. X. Rybarski wziął się gorliwie do pracy i wkrótce zapanował w tuchowskiej parafii duch, że z dalszych nawet stron napływali licznie pobożni do Tuchowa dla zwiedzenia cudownego obrazu w tamtejszym kościele i dla orzeźwienia się tym duchem pobożności, jaki x. Rybarski roztaczał. Wśród takiej pracy dokonał zmarły 50 lat kapłaństwa. Kilkakroć był ks. Rybarski z pielgrzymkami w Rzymie, a podczas jednej z nich otrzymał od Papieża godność infułata.

Zgon x. Rybarskiego pokrył żałobą smutku dyecezyę tarnowską, dla której pociechą jest przykład jasny, jaki zmarły duchowieństwu pozostawił.

† Ks. Józef Wawreczka. Dnia 2 bm. w Starejwsi pod Brzozowem zasnął w Panu ks. Józef Wawreczka T. J., kapłan pełen zasług, znany zaszczytnie z prac swoich misyjnych nietylko w Galicyi, ale także na Górnym Szląsku, w Poznańskiem, w Prusach Zachodnich i w Kaszubach polskich. Urodzony w Ostrawie morawskiej w roku 1808, ukończył gimnazyum w Cieszynie, a słuchał filozofii w Bernie. Wstąpił do Towarzystwa Jezusowego w roku 1830, a odprawiwszy nowicyat i nauki przygotowawcze w Starejwsi, odbył czteroletni kurs teologii w Nowym Sączu.

Jako kapłan pracował przez kilka lat w Tarnopolu i we Lwowie, a najwięcej w Poznańskiem, gdzie zasłużył się bardzo, odprawiając misye między ludem tamtejszym. Pod koniec życia osiadł w Starejwsi i pracował jako spowiednik.

Byłto zakonnik bardzo przykładny, surowy dla siebie, a dla innych wyrozumiały i łagodny. W naukach, jakie dawał tym, którzy doń przychodzili, był zwięzłym, jasnym i stanowczym; dlatego jako spowiednik był poszukiwanym i wysoce cenionym. W ubiegłym roku obchodził rzadką bo pięćdziesiątą rocznicę profesyi zakonnej, a sześćdziesiątą drugą wstąpienia do zakonu.

Przez ten długi czas wytrwałej i gorliwej swej pracy zdobył sobie wieniec nieśmiertelnej chwały, który na wieki zdobić będzie skroń jego.

Z Targowicy polnej piszą nam:

† Dnia 28 z. m. zgasł za wcześnie dla Cerkwi św. i dla społeczeństwa ruskiego ksiądz Antoni Liginowicz, gr. kat. pleban w Targowicy polnej na Pokuciu, w majątku p. Adolfa Abrahamowicza.

Sp. ksiądz Antoni, urodzony w roku 1862 w Strzylczu, syn ubogiego nauczyciela ludowego, ciężką pracą przebijał się przez świat, aby dopiąć celu szlachetnych swoich pragnień. Stanął w szeregu pracowników w winnicy pańskiej; ale kształcąc umysł i serce o chłodzie i głodzie, stargał młodociane siły swoje. Sześć lat zaledwie był sługą ołtarza, przyświecając całej okolicy cnotami kapłana chrześcijańskiego. Dziwnie bezinteresownym był wobec swoich parafian. Funkcye kapłańskie wykonywał bez najmniejszego targu: brał tyle, ile mu ofiarowywano, a tam, gdzie nie było co brać, ocierał łzy nędzy z własnego bardzo szczupłego mienia. Modlił się jednako za spokój duszy bogacza czy ubogiego.

Ruś, Ojczyznę swą, kochał po Bogu najgoręcej, a Polaków, pobratymców swoich, cenił i żył z nimi zawsze w przykładnej zgodzie.

Sp. ksiądz Antoni osierocił żonę i troje maleńkich dzieci, pozostawił parafian w nieutulonym żalu, a wielu przyjaciół — zarówno Rusinów jak Polaków — skonem swoim głęboko zasmucił.

Daj Boże, temu serdecznemu Rusinowi odpoczynek wieczny; Duch jego czysty niech czuwa po wieczne czasy nad szczęśliwością Rusi katolickiej!

Z nad Bugu piszą nam: Przed kilkunastu dniami zgasł cicho, niemal zapomniany przez współczesnych, do których już prawie wiekiem swym nie należał, mąż gorącego patryotyzmu a cichych zasług.

Był nim Rusin z rodu, Dymitr Mochnacki, były więzień stanu jeszcze z r. 1842, a następnie wieloletni inspektor szkolny okręgowy, który zmarł 16 grudnia r. z. w Rosochowaćcu w powiecie podhajeckim.

Ś. p. Dymitr Mochnacki, syn księdza ruskiego, urodzony w r. 1810 w Sanockiem, zamyślał również poświęcić się stanowi duchownemu.

Odbył więc studya teologiczne w seminaryum ruskiem w Przemyślu, gdzie ówczesny zasłużony biskup ruski ks. Snigurski poznawszy znakomite zdolności młodego teologa, postanowił pozostawić go przy sobie i wyświęcić w celibacie.

Tuż przed odebraniem święceń kapłańskich udał się Mochnacki do Lwowa, gdzie porwany wirem ówczesnych wypadków politycznych, wszedł w koła młodzieży, do których należeli Smolka, Ziemiałkowski, Hefern i inni i wraz z nimi dostał się do więzienia. Odbywszy długie śledztwa i więzienie kilkuletnie, nie mógł po uwolnieniu jako skompromitowany politycznie powrócić już do stanu duchownego, a gdy i żadnej posady otrzymać nie mógł, poświęcił się prywatnemu nauczycielstwu.

Zamieszkał więc w domu Nikorowiczów w Grzymałowie, następnie prowadził wychowanie Augusta i Zygmunta Romaszkanów, wychował Ludwika hr. Wodzickiego, byłego marszałka kraju, następnie bawił w domu Waleryana Podlewskiego w Chomiakówce, w końcu w domu Bocheńskich i Jankowskich, gdzie bawiąc z przerwami około lat 50 wychował dwa pokolenia.

Gdy z powołaniem do życia krajowej Rady szkolnej utworzono obecne nadzory szkolne, zwrócił się ś. p. Gołuchowski do tego wytrawnego pedagoga, ofiarowując mu posadę szkolnego inspektora okręgowego. Mimo lat przeszło 60 nie wahał się Mochnacki poświęcić swych sił tej pracy i sprawował urząd inspektora najpierw w Stanisławowie, a następnie w Kałuszu.

Oddany z całem zamiłowaniem pracy około zakładania i podnoszenia szkół ludowych, był prawdziwym ojcem i opiekunem nauczycieli swych okręgów, wspierając ich swoimi szczupłymi dochodami i oszczędnościami, a sam natomiast pracował nieraz o chłodzie i głodzie.

Piękną bibliotekę uskładaną z oszczędności lat wielu pozostawił w ofierze radzie okręgowej, przy której pracował.

Przed pięciu laty jako 77-letni starzec podziękował za posadę, dla której sił mu już nie starczyło, a jakkolwiek wstępując do tej służby zrzekł się z góry wszelkiej emerytury, przyznało mu ją Ministerstwo na wniosek krajowej Rady szkolnej w kwocie 400 złr.

Sterany pracą powrócił do domu pp. Jankowskich w Rosochowaćcu i tutaj otoczony opieką przyjazną swych byłych wychowanków zgasł dnia 16 grudnia r. z. bez cierpień, cicho, jako cichem było całe życie tego prawdziwego patryoty-Rusina z rodu, jakich niestety już dzisiaj ta ziemia nasza nie wydaje. — Tych kilka słów niech będzie uczczeniem cichych zasług zacnego pedagoda i niech przypomną go pamięci wszystkich, którzy poznawszy tę szlachetną postać otaczali ją zasłużonym szacunkiem. Pożądanemby było, aby jakieś wytrawne pióro podjęło się szczegółowego podniesienia zasług tej pięknej postaci z lat ubiegłych.

Zamiast rozsyłania życzeń noworocznych nadesłali nam dla Sióstr Felicyanek ks. Ludwik Babik z Kulikowa 2 złr., p. Aleksander i Marya Romanowscy z Linderówki 2 złr., ks. Wojciech Nikiel z Ottynii 2 złr.; na rzecz biednych sierót po zarobniku Mańkowskim zabitym przez dwóch żydów na ulicy Zamartynowskiej p. St. Truchim ze Lwowa 5 złr.; dla biednych p. W. Gordon z Nieżuchowa 3 złr.

Jasełka, urządzone przez Towarzystwo św. Salomei w sali Sokoła podczas świąt Bożego Narodzenia, tak się podobały publiczności, że czyniąc zadość życzeniu ogółu, zarząd postanowił powtórzyć przedstawienie jasełek w dzień Trzech Króli (dnia 6 bm.) również w sali Sokoła. — Ceny będą znacznie zniżone, a scena zostanie w ten sposób urządzona, że nawet z najdalszych miejsc obrazy dokładnie widzieć będzie można.

Malarze polscy na wystawie w Chicago. Dzienniki krakowskie zamieszczają następujące pismo p. Juliusza Kossaka, prezesa krak. Koła artystyczno-literackiego:

„Artyści malarze warszawscy wysłali delegata w celu porozumienia się z artystami krakowskimi co do wspólnego wzięcia udziału na wystawie w Chicago. Artyści tutejsi postanowili przyłączyć się na zasadzie przyjętej ugody pomiędzy pewnym kapitalistą z Warszawy i artystami. Dla wyjaśnienia dodajemy, że nie ma to żadnego związku z projektami, które się pojawiły w ostatnich czasach w Krakowie, — istnieją inne, — wybrane przez artystów warszawskich i dopełnione wyborem tutejszych.

Zgłaszać obrazy (rzeźby są wykluczone) można najpóźniej do dnia 15go stycznia 1893 r. Dnia 25go bm. wszystkie obrazy, przeznaczone do Chicago, muszą być w pakach odpowiednio mocnych do długiej podróży zabezpieczone, przed wysłaniem muszą być fotografowane i fotografie do zgłoszenia przyłączone; nieodzowna potrzeba dla asekuracyi obrazów. Obrazy gotowe prosimy zgłaszać przed d. 15 bm. do prezydyum Koła artystyczno-literackiego krakowskiego“.

Czarna księga. Na walnem zebraniu członków ruskiej „Narodnej Rady“, które odbyło się we Lwowie dnia 27 z. m., na wniosek p. J. Rudnickiego, uchwalono założyć tak zwaną „Czarną księgę“ i z końcem każdego roku wydawać broszurę, zawierającą spis krzywd ruskiego narodu w ubiegłym roku. Owóż nowo wybrany Wydział „Narodnej Rady“, spełniając tę rezolucyę walnego zgromadzenia, na pierwszem swem posiedzeniu skonstatował, iż taka księga pod nazwą: „Księga krzywd narodu ruskiego w sprawach publicznych“ już się w Towarzystwie znajduje.

Wydział postanowił więc w ruskich pismach wezwać wszystkich Rusinów: „aby donosili mu o wszystkich krzywdach ruskiego narodu, mających polityczny charakter“.

„Fakta te — pisze Wydział w swej odezwie — powinni skarżący się podawać wiernie i prawdziwie we wszystkich najdrobniejszych szczegółach. Doniesienia podpisywać należy całem imieniem i nazwiskiem. Na życzenie skarżącego się, nazwisko jego pozostanie w tajemnicy. W miarę możności, należy dołączyć do skargi dokumenty, rozporządzenia i podać świadków itd.“

Napad na pocztę. Z Husiatyna donoszą: Przed kilku dniami pojawiła się w pismach naszych krótka notatka o napadzie na woźnicę pocztowego, który wiózł pieniądze z Kopyczyniec do Probóżnej. Krótką tę notatkę uzupełniamy dzisiaj bliższemi szczegółami.

Rzecz miała się jak następuje: Dnia 22 grudnia woźnica Michał Duś wiózł pocztę do Probóżnej. W drodze, może milę od Probóżnej, spotkał Duś Markusa Sommera, 28-letniego żyda, którego znał z Probóżnej jako handlarza bydła. Sommer prosił Dusia, aby go wziął na sanki. Duś wahał się chwilę, ale potem przystał na to, tembardziej, że Sommera znał już od dawna.

Sommer siadł na sankach z tyłu plecami do woźnicy. Usiadłszy, zaczął zaraz wyjmować coś z kieszeni; Duś sądził, że on szuka tytoniu, a zresztą nie zwracał na to uwagi. Nagle usłyszał Duś wystrzał i w tej chwili splunął, gdyż kula wypadła mu ustami. Miał jeszcze jednak tyle siły, że nie stracił przytomności i schwyciwszy Sommera za tę rękę, w której trzymał rewolwer, zwalił się na niego swem ciałem, gdyż sądził, iż w ten sposób napastnik nie zdoła mu uciec i on dowiezie go do Probóżnej.

Przeszło kwadrans jechali tak leżąc jeden na drugim; tymczasem Dusiowi ciekła krew z ust i szyi, gdyż kula zraniła go w szyję, wpadła do jamy ustnej i wybiwszy dwa zęby, wyleciała ustami. Sommer znów nie usiłował uciekać, uczepił się tylko mocno Dusia i czekał, kiedy w skutek upływu krwi straci on przytomność. Duś rzeczywiście z każdą chwilą był słabszy i obawiając się, aby wtedy, gdy on zemdleje, Sommer nie dokonał rabunku, postanowił pozbyć się rabusia. Zebrał więc wszystkie swe siły, uderzył silnie Sommera w głowę i jednym zamachem zrzucił go z sani. Żyd chwycił się jednak lewą ręką Dusia i tak wlókł się przy saniach przeszło 300 kroków, aż dopiero, gdy go Duś uderzył batogiem w głowę, puścił się sanek i pozostał na drodze a Duś, podpędziwszy koni, dojechał do Probóżnej i w porządku oddał całą pocztę.

Następnie zaś zgłosił się sam do żandarmeryi i opowiedział całe zdarzenie.

Podczas oględzin lekarskich przekonano się, że kula zraniła Dusia w lewą stronę szyi poniżej dolnej szczęki, a następnie przebiwszy policzek zraniła język i wybiwszy dwa zęby, wyleciała ustami.

Patrol żandarmeryi, wysłany za Sommerem, spotkał go na drodze ku Probóżnej. Był zraniony i szedł bez czapki. Gdy schwytano go i pytano o napad, odparł, że bronił tylko woźnicę pocztowego, którego napadł jakiś inny nieznany mu żyd. Przed sędzią śledczym zaś zeznawał zupełnie inaczej i rzucił podejrzenie na byłego pocztmistrza, twierdząc, iż napadu dokonał z jego namowy. Okazało się jednak, iż podejrzenie Sommera było w całości oszczerczem.

Ranny Duś ma się lepiej i nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo.

W żelaznej skrzynce, którą wiózł na swych sankach, znajdowało się tego dnia przeszło 15.000 złr., wysłanych do handlarzów bydła w Probóżnej. Sommer o przesyłce tej wiedział, gdyż prawie u każdego z kupców dowiadywał się, kiedy mu zostaną nadesłane pieniądze.

Przed kilkoma miesiącami zginął z worka pocztowego na drodze między Kopyczyńcami a Probóżną list pieniężny z kwotą 2.000 złr. Złodzieja dotąd nie wyśledzono.

Teraz jest podejrzenie, iż kradzieży tej dopuścił się Sommer.

Nadburmistrz miasta Lwowa. Opowiadano nam następujący fakt:

Grono poważnych obywateli chciało zwołać poufne zgromadzenie wyborcze z najwybitniejszych mieszkańców miasta w celu ułożenia takiego planu akcyi wyborczej, aby się nie powtórzyły owe smutne

---

72)

WIARUSY

POWIEŚĆ

WACŁAWA MASŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Patrząc nań pan Władysław przesunął się mimo framugi i stanął w cieniu. Odetchnął głęboko, jak gdyby wielki ciężar spadł mu z piersi. Ani przypuszczał, żeby to szło mu tak trudno. Poczuł, że oto lada chwila wyczerpią się jego siły, targane od kilku dni cierpieniami, wszystkiem, co przeżył, i ogromną pracą przy wydobywaniu się z celi. Jednocześnie przyszła dziwna niedbałość o niebezpieczeństwa i lekceważenie ich. Myśli biegały po jego głowie, jak błędne płomyki po moczarach: nie wiedział skąd i jak powstawały i kiedy gasły, a takie były różne, jakieś urywki dawnych i późniejszych wrażeń, że po prostu niepodobna mu było rozpatrzeć się w tym chaosie. Wiedział tylko jedno, i to jakby przez sen, że niech się stanie co chce, a iść trzeba!

Więc poszedł. Pierwszy jego krok był bezwiedny, całkiem machinalny. Sam nie wiedział, jak to się stało, że oto już idzie, mija oświetlone framugi jednę za drugą i widzi jakby przez mgłę żołnierzy w różnych grupach; jedni z nich spali, inni grali w karty, jeszcze inni gwarzyli leniwo, półsennie.

Ruch go orzeźwił, lecz jednocześnie wróciła obawa niebezpieczeństwa i znów wahać się zaczął i wymyślać różne ostrożności.

W tem, jakby piorun, uderzył w niego głos z boku:

— A dokąd to maszerujesz?

Pan Władysław stanął jak wryty, mrowie po nim przeszło, lecz w obec rzeczywistego niebezpieczeństwa wnet odzyskał zimną odwagę.

— Tobie co do tego? — spytał ostro, podniesionym głosem.

— Aha! pewnie! — zamruczał żołnierz. — Nic mnie do tego! A jak co się stanie, to mnie podziurawią skórę. Nieczysta siła nosi tych kozaków! Co masz się tłuc jak potępieniec, nie chrapałbyś tam lepiej w jakim kącie?

— A ja ci mówię: nie twoja rzecz! Mam rozkaz iść, to idę!

— To idź, idź, choć na złamanie karku! A natknij się gdzie na Olgerodego, — będziesz miał łaźnię, że lepszej nie trzeba!

— Właśnie też do Olgerodego idę.

— Tak? Ano, wal! Jeno chleba napakuj za policzki, żeby jak zacznie bić po pysku, szczęk nie połamał. Słyszysz?

Lecz pan Władysław nie słyszał, bo już się oddalił o dobry kawał. Niebawem baterya się skończyła. W korytarzu ciemno teraz było, jak w podziemiu, i cicho. Rękami trzymając się muru, pan Władysław powoli posuwał się naprzód.

Wkrótce w ciemności coś się wyłoniło szarego. Było to wnętrze okrągłej baszty, napełnionej nocnem światłem, które wraz z chłodnym powiewem wchodziło przez wązkie strzelnice. Wśród poczerniałych murów bielały stopnie schodów, prowadzących do furty.

Pan Władysław pochylił się nad poręczą i słuchał. Cicho było na dole.

Więc szybko zbiegł po schodach. Na ostatnim stopniu stanął na miejscu, jak martwy: — przed nim był Olgerode.

Z rękami skrzyżowanemi na piersiach, baron patrzył na rzekę.

Posłyszawszy za sobą szmer, obrócił się — przerażenie wystąpiło na jego twarzy, potem oczy błysnęły dziko, — o krok się cofnął, kładąc rękę na głowni pałasza.

Pan Władysław już dobył swą szablę i natarł.

— Jeden z nas zginie! — wymówił przez zaciśnięte zęby.

— Dobrze! — odparł baron spokojnie.

Jakiś czas słychać było tylko częste a ciche szczękanie żelaza; czasami powietrze zawyło pod ostrzem i zaraz potem sypały się iskry ze stali.

Obaj świetnie się bili. Prawie nie widzieli swych twarzy, nie widzieli szabel, ale one żyły w ich dłoniach, — zdawało się, że obdarzone były myślą, — zgadywały każdy ruch przeciwnika i uprzedzały go z błyskawiczną chyżością.

Wtem Olgerode odskoczył i stanął z szablą opuszczoną do ziemi.

— Jedno słowo! — zawołał.

— Dziesięć, jeśli się podoba.

— Przyzna pan Białorzecki, że się biję niegorzej od niego!

— Przyznam, że lepiej, jeśli to panu Olgerodemu sprawi przyjemność.

— Nie lepiej, lecz i nie gorzej!

— Więc równo. Prawdziwy to dla mnie zaszczyt!

— Proponuję odłożyć tę rozprawę na później.

— Jak to? Pan Olgerode raczy żartować!

— Pan Białorzecki posłuchać raczy! To pewna, że jeden z nas musi zginąć!

— Zdawało mi się w istocie, że mam przed sobą tak zdecydowanego przeciwnika.

— Zechce pan nie zmieniać tego przekonania.

— Niczego bardziej nie życzę.

— Dajmy więc sobie słowo zejść się przy pierwszej sposobności.

— Lecz czy może być lepsza od tej?

— To niech pan sam osądzi. Panna Anna jest w rękach Szamila.

— Ach! — jęknął pan Władysław.

Nogi zadrżały pod nim. Bezwładnie o mur się oparł.

— Panna Anna w rękach Szamila, — powtórzył Olgerode. — Ratować ją trzeba. Teraz może rozumie mnie pan? Wstrętna mi jego pomoc, — jemu wstrętna moja. Tem chętniej się spotkamy, kiedy już panna Anna wróci do krewnych.

Pan Władysław złamany, prawie nieprzytomny, milczał.

— Czy pan przyjmuje propozycyę? — spytał Olgerode wyniośle.

— Przyjmuję, — głucho wymówił pan Władysław.

Olgerode włożył szablę do pochwy.

— Więc wolna droga! — rzekł, wskazując na furtkę.

I powoli zaczął wstępować na schody.

W jakiś czas potem pan Władysław wyszedł z twierdzy, okrążył skałę zamkową i brzegiem rzeki ruszył ku górom.

Switało już, gdy się zbliżył do zameczku Eyuba-agi.

IV.

Nad Kargułem noc była cicha i ciemna; ciepłe powietrze do snu kłoniło; mgła, nadciągnąwszy od morza, przesłoniła gwiazdy i jakby płaszczem nakryła załogę, znużoną czuwaniem. Ruch ustał, umilkły rozmowy — cisza zaległa z końca w koniec okopów. Spali wszyscy.

Niewszyscy jednak. Na grzbiecie wału widać było w jednem miejscu cień nieruchomy. To rotmistrz wpatrywał się w ciemność błyszczącemi oczami i uchem łowił najlżejszy szelest. Po jakimś czasie w dół się pochylił i spytał przyciszonym głosem:

— Atamanie?

— Jestem! — doleciał szept z ciemności.

Po chwili z rowu pokazała się głowa; do niej nachylił się rotmistrz.

— Chwała Bogu! — rzekł. — Wracasz szczęśliwie. Cóż tam?

— Miurydzi obsadzają wzgórza. Ognie pogasili. Rychło uderzą, ale już nie z wąwozu, jak z rana, lecz szeroką ławą stoczą się ze skłonów.

— Siłaż tego będzie?

— Bez liku! Jednem słowem: cały Dagestan!

Rotmistrz zamilkł.

— Co lasu napsuli, to aż strach, — ciągnął Wabram po chwili. — Z bierwion pobudowali ściany, które stoją na walcach. Widać, pchać będą przed sobą owe zasłony.

Baklanowski zaczął skręcać brodę i koniec jej do ust wkładał. Milczeli obaj.

— A jamy nasze jak? — nareszcie spytał rotmistrz.

— Gotowe. Teraz jeno ładunki kłaść.

— Czekaj-że na mnie, wnet będę tu z ludźmi.

Rotmistrz zsunął się z wału i prędko podążył do swego mieszkania.

Tam, przy świetle łojówek, ustawionych w misach z wodą, pilnie pracowało kilkunastu żołnierzy. Jedni z nich wpuszczali lonty do beczułek z prochem i otwory zalepiali woskiem; inni owijali lonty raz przy razie słomianymi sznurami, które potem maczali w dziegciu, obsypywali piaskiem i zwijali na kije. Pan Maciej chodził od jednych do drugich, wszędzie coś poprawił, rzucał pożyteczne uwagi i częstował tak zwaną „aku witam“, która właściwie powinna się nazywać „kuma witam“.

— Gotowo? — spytał rotmistrz od progа.

— Tak jest! — odrzekł prostując się kapral.

— Więc każdy bierz beczułkę na plecy, lont pod pachę i marsz za mną, a nie kupą, jeno gęsiego. Ty, Macieju, może także podrepczesz, bodaj ostatnim, ze ślepą latarką, co?

Pan Maciej nie odezwał się, — stał wyprostowany, z nastroszonymi wąsami, z gniewem na czole, z błyskami żalu w oczach. Nagle porwał latarkę i zawołał:

— Maszerujcie, kawalerowie! Ja, cherlak, dziad, może jakoś podrepczę za wami!

Głęboka obraza drżała w jego głosie. Nie patrzył na rotmistrza.

Poszli. Przez całą forteczkę przesunęli się cicho i wyszli w pole. Tam, dokoła okopu, o jakie półtorasta kroków od niego, były świeżo wykopane głębokie jamy; od każdej ciągnęła się ku wałowi bruzda. Kozacy stali z rydlami.

Do jam spuszczono beczułki z prochem, lonty ułożono w bruzdach, potem wszystko zasypano ziemią, którą ubito mocno i wyrównano, aby żadnego śladu nie było.

Poczem tak samo cicho wrócono do forteczki.

— Teraz, — rzekł rotmistrz, — ruszaj każdy na swoje miejsce! Spać można, ale jednem okiem. Bywajcie zdrowi!

(Ciąg dalszy nastąpi).

sceny, których przed rokiem widownią była sala ratuszowa. Udało się tedy wspomniane grono do pana burmistrza Mochnackiego z prośbą o salę ratuszową na owo poufne zgromadzenie. — P. Mochnacki, wysłuchawszy, o co rzecz idzie, oświadczył, że sali dać nie może, dlatego, że p. Ihnatowicz zamówił ją sobie na wszystkie wolne wieczory.

— Ależ, panie prezydencie — odzywają się ci petenci — my przecież także jesteśmy wyborcami i mamy te same co p. Ihnatowicz prawa. Dlaczegoż on je'en ma z sali korzystać, a my wszyscy nie? Tem bardziej, że jak panu wiadomo, nie ma we Lwowie ani jednej sali odpowiedniej; w Narodnym domu tak brudno, schody tak okropne i nigdy nie oświetlone, przejście tak wielkie, że tam nikt chodzić nie chce; sala kasyna miejskiego jest za mała; sala hotelu Żorża nie ma garderoby; sala Sokoła jest okropna i raczej rajtszulą niż salą; więc odmowa p. prezydenta sprawia nam kłopot. Niechże pan ją cofnie!...

— To trudno, moi panowie; zresztą pomówcie z panem Ihnatowiczem; jeżeli on zezwoli, to dam panom salę — odrzekł energiczny nasz p. burmistrz.

Z tegoż się okazuje, że ponad burmistrzem p. Mochnackim mamy jeszcze nadburmistrza — p. Ihnatowicza.

Z Rudy kochawińskiej piszą nam:

Dnia 11 zm. odbyła się u nas niezwykle piękna uroczystość założenia Kółka rolniczego, na którą przybył ks. dr. J. Trzopiński profesorem z Kochawiny, przybyło z powiatu 30 nauczycieli, inspektor p. A. Lewandowski, pp. Chojecky i p. Kossowski radzca tutejszy.

Uroczystość rozpoczęła się lekcyą praktyczną w 3 klasie tutejszej szkoły. Lekcyę tę przeprowadziła nauczycielka p. F. B., potem odbyło się posiedzenie Kółka pedagogicznego, a nakoniec właściwa uroczystość otwarcia „Kółka rolniczego".

Słowo wstępne wypowiedział ks. Jan Trzopiński, założyciel „Kółka" i „Sklepiku chrześcijańskiego", pięknemi słowy, witając zebranych, wzywał ich do popierania gorliwego tak pożytecznej instytucyi jak „Kółka rolnicze".

Następnie wygłosił p. W. B. nauczyciel odczyt „O potrzebie zakładania Kółek rolniczych i Sklepików chrześcijańskich". Odczyt ten gruntownie a wszechstronnie opracowany podobał się powszechnie.

Z kolei odbył się wieczorek deklamacyjno-muzykalno-wokalny urządzony przez pp. nauczycieli. W pierwsze święto Bożego Narodzenia zaprosił ks. proboszcz Jan Trzopiński, prezes Czytelni i Kółka rolniczego, wszystkich członków na wspólną uroczystość łamania się opłatkiem, która się odbyła we własnym lokalu Towarzystwa. Uroczystość ta dotąd nam obca, wywarła na nas ogromne i nigdy nie zatarte wrażenie.

Tego samego dnia wieczorem rozdał ks. Trzopiński na gwiazdkę dla biednych dzieci 13 par butów, 26 chustek zimowych, 10 szalików, 10 czapek, 4 książeczki do nabożeństwa, 3 historye biblijne w obrazach, wreszcie inne dzieci otrzymały przybory do pisania lub łakocie.

Z Grochowiec pod Przemyślem piszą nam: Przesyłam wam próbkę tutejszej kolędy. W nocy z dnia 25-go na 26-ty o godzinie 12-tej, gdy wszyscy we wsi zwykle pogrążeni byli w śnie głębokim, przyszło siedmiu włościan grochowieckich do domu rządcy i bijąc w drzwi i okna, wołali udając głosy żydowskie, żeby im otworzył, bo chcą kolędować. Przebudzony rządca w taki niezwykły i gwałtowny sposób, sądził w pierwszej chwili, że to napad bandytów na dwór, więc chwycił za rewolwer i podszedł do okna w zamiarze strzelania do drabów. Dzięki tylko przypadkowi, że rewolwer zepsuł się i odmówił strzałów, obeszło się bez krwi rozlewu, w przeciwnym razie cała ta nocna afera mogła się była bardzo a bardzo smutnie skończyć. Następnie udali się ekscedenci do domu ogrodnika i wyprawiwszy tam taką samą scenę, rabowali gołębnik, będący własnością ogrodnika, unosząc z sobą [illegible].

Sprawa ta jest obecnie przedmiotem dochodzenia władzy politycznej i sądowej. Zdziczenie tutejszych włościan dochodzi do tego stopnia, że się rzucają w nocy na przejeżdżających przez wieś, bijąc i grabiąc ich, nawet wojsko, stojące załogą w twierdzy grochowieckiej, wysyłało kilkakrotnie przeciw nim zaczynając odgrażanie się żołnierzom. *D. N.*

Egzamina kwalifikacyjne dla nauczycieli szkół ludowych, pospolitych i wydziałowych rozpoczną się przed c. k. komisyą egzaminacyjną we Lwowie dnia 20 lutego 1893 r. Podania należycie ostemplowane i zaopatrzone: a) w metrykę urodzenia; b) w krótki życiorys z podaniem przebiegu odbytych nauk i wykazu dzieł do egzaminu przestudyowanych; c) w świadectwo dojrzałości i d) w dowody najmniej dwuletniej praktyki nauczycielskiej, odbytej w szkole ludowej publicznej, lub prywatnej, mającej prawo szkoły publicznej, należy wnieść do komisyi egzaminacyjnej (ulica Skarbkowska l. 39) za pośrednictwem odnośnej c. k. Rady szkolnej okręgowej najdalej po dzień 3 lutego b. r. Podania później wniesione nie będą uwzględnione.

Od Dyrekcyi c. k. Komisyi egzaminacyjnej dla nauczycieli szkół ludowych, pospolitych i wydziałowych. *Ludwik Dziedzicki.*

Język polski pod zaborem rosyjskim, gnębiony już na najrozmaitsze sposoby, doznał nowego ciosu wskutek rozporządzenia jenerał-gubernatora, aby w urzędach mówiono ze stronami tylko po rosyjsku. Od reguły tej będzie wolno odstąpić wyjątkowo tylko w gminach włościańskich „o ile odnośnie stwierdzonem zostanie, że włościanin interesowany nie włada dostatecznie językiem państwowym". Że tem rozporządzenie będzie ściśle tam gdzie się tylko da, stosowany, świadczy o tem chociażby zakomunikowanie go „personalowi służbowemu" szpitali warszawskich. Przy tej sposobności powstała kwestya, czy lekarzy ordynujących w szpitalach należy zaliczyć do „personalu służbowego". Na pytanie to władze rosyjskie odpowiedziały sobie twierdząco, nie dbając zupełnie o to, jakiem będzie leczenie chorych, którzy nie umieją po rosyjsku i rozumieć nie będą, o co ich lekarz pyta. Pocieszającem dla nas w odezwie jenerał-gubernatora jest tylko uznanie, że pomimo systemu rusyfikacyjnego nie przynosi pożądanych plonów. „Od lat trzydziestu — pisze p. Hurko — nadaremnie staramy się, aby w tym kraju zdobyć dla języka państwowego „prawo obywatelstwa", dotąd starania te były bezskuteczne, a język „russki" jest jeszcze ciągle dla mieszkańców tego kraju zbyteczny".

Do jakich wprost niedorzecznych konsekwencyi doprowadza zakaz mówienia po polsku, wydany już dawniej urzędnikom w osobach, niech poświadczy następujący przypadek.

Żona jednego z urzędników kolejowych wyjechała do pobliskiego miasteczka na sprawunki. Mąż jej był właśnie w służbie. Gdy jej więc szczęśliwie po mieście i nie mógł do niej bardzo głośno i wyraźnie „do widzenia", a gdy się — odpowiada ona — wiesz, rzecie, że nie rozumiem ani słowa". Na to urzędnik zwraca się do przechodzącego żandarma, który obowiązany jest pośredniczyć między urzędnikami, a osobami, niewładającemi „państwowym" językiem, prosi go sprawunki, a żandarm tłumaczy to dopiero jego żonie!

Z humorystyki prowincyonalnej. Było to w chwili największego niebezpieczeństwa cholery. Wszystkie gminy uchwalały mniejsze lub większe sumy na karbol, urządzenie szpitali cholerycznych i t. p. wydatki. Tylko w jednem miasteczku pp. radni ani rusz nie mogli się zdecydować na ten cel przeznaczyć stosownej kwoty 300 złr. Dopiero kiedy burmistrz przedstawił im stanowcze żądanie starostwa zamyślili się ojcowie radni.

— Ta! trzeba uchwalić, kiedy każą — powiedzieli sobie — ale my nie myślimy wcale żadnych płacić dodatków do podatków na pokrycie tych 300 złr. Inspektor policyi bierze 500 złr., a 300 mu by wystarczyło, strącić więc mu 200 z pensyi na cholerę, dziesięciu policyantom i sługom magistrackim strąćmy po 10 złr., no i 300 złr, będziemy mieli.

Naprożno tłómaczył im p. burmistrz, że tak postępować nie podobna, że inspektor policyi i policyanci są za kontraktem, więc im samowolnie zniżać płacy nie można, nic nie pomogło, radni uchwalili ten genialny wniosek, a zadowolnieni z załatwienia sprawy, poszli ją zapić do handelku. Tymczasem policyanci dowiedzieli się o uchwale, postanowili zemścić się. Kiedy ojcowie miasta porządnie już sobie podchmielili, zjawiła się policya w handelku i przyaresztowała kilkunastu radnych na podstawie „uchwały o pijaństwie", mimo energicznych protestów z ich strony. Osadziwszy pp. radnych w areszcie, poszedł p. kapral zameldować burmistrzowi, co się stało. Burmistrz wysłuchał spokojnie raportu, a potem wyjął zegarek.

— Jest teraz już pół do siódmej — powiedział do policyanta — a ja mam urzędować tylko do godziny 6-tej. Dziś więc nie jestem obowiązany przyjąć twego raportu.

Panowie radni przepędzili noc w areszcie, dopiero nazajutrz rano, spisano z nimi protokół i sprawę oddano do sądu. Taki epilog miało wprowadzenie przez pp. radnych genialnego systemu w uchwalaniu wydatków.

A teraz zmieńmy dekoracye. Rzecz dzieje się w pewnej radzie powiatowej. Jeden z jej członków, dygnitarz mało-miasteczkowy przychodził systematycznie pijany na posiedzenie Rady, tak, że reszcie jej członków to się wreszcie sprzykrzyło, powzięli więc uchwałę, że „od tej chwili p. X. ma się powstrzymać od używania wszelkich napojów alkoholicznych". Uchwałę tę całkiem formalnie zaprotokołowano, a na znak zgody z nią p. X. położył swój podpis. Przez cztery miesiące potem pana X. nie widziano na posiedzeniach Rady, czwartego miesiąca dopiero się zjawił, ale... pijaniusieńki! — Przedłożono mu więc uchwałę wspomnianą, ale pan X. oświadczył, że stosować się do niej nie może, bo by to było dla niego zbyt wielką przykrością. Wobec tego Rada powiatowa wykluczyła p. X. ze swego łona *„za niestosowanie się do uchwał Rady"*.

Dzieci płacą połowę — brzmi ogłoszenie w wagonach kolei konnej w Belgradzie. Tylko, że tam biorą pod uwagę nie lata dziecka, jak na naszych kolejach, lecz wzrost jego. W stolicy serbskiej z prawa opłaty połowy ceny biletów korzystają tylko te dzieci, których wzrost nie dosięga jednego metra. Konduktor ma możność z całą ścisłością zmierzyć wzrost swego pasażera, — ponieważ na ścianach wagonu nawet w kilku miejscach, znajduje się przybita miara metryczna.

Wypadek w kopalni. Dnia 30 z. m. nastąpiła w Borysławiu eksplozya gazów w kopalni wosku w szybie przedsiębiorcy Ostmanna. Zabity został kasyer tego przedsiębiorstwa, a kilku robotników zostało pokaleczonych. Władze rozpoczęły w sprawie tej śledztwo sądowe.

Dyrekcya kolei państwowych ogłasza:

Celem jak najrychlejszego zawiadomienia publiczności miasta Lwowa o możliwych spóźnieniach pociągów i o szczególnych wydarzeniach w ruchu pociągów osobowych, przyjeżdżających do Lwowa i odjeżdżających ze Lwowa, umieściła dyrekcya ruchu kolei państwowych we Lwowie przy wejściu do „biura informacyjnego" w hotelu Imperial we Lwowie tablicę, na której wszystkie tego rodzaju zawiadomienia zaraz po nadejściu ogłaszane będą.

Zmarli. Maksymilian Hawełka, urzędnik sądowy w Skawinie, brat znanego kupca krakowskiego, umarł przeżywszy 60 lat. — W Poznaniu umarł Amilkar Brzeski, oficer 3go pułku strzelców polskich z roku 1831. Brał udział w bitwach pod Wielkim Dębem, Wawrem i Grochowem. Wróciwszy do Prus, skazany został na 6 miesięcy fortecy i konfiskatę majątku.

Stan powietrza. Termometr — 1° Reaum. Zrana było — 4° R. Barometr 766. Idzie w górę. Pochmurny, wietrzny i bardzo zimny dzień. Śnieg.

Z cenzury rosyjskiej. Wydawnictwo pisma humorystycznego *Strekoza* (konik polny), wychodzącego w Petersburgu, zostało przez cenzurę zawieszone, za to że w satyryczny sposób dotknięto w niem sprawy obsadzania posad na kolei terespolskiej Rosyanami. — Raz zamieszczono w tem piśmie rysunek który przedstawiał wagon kolejowy napchany żołnierzami: — „Dokąd jedziecie?" pyta ktoś. — „Na kolej terespolską." — „Wy inżynierzy?" — „Nie, my prawosławni."

Innym razem podana była rozmowa, w której ucieszony właściciel domu oświadcza przyjacielowi, że przestał zamykać drzwi od swego mieszkania, bo w carstwie nie ma już złodziei. — „A cóż się z nimi stało?" — „Pojechali na kolej terespolską."

Hallucynacye. Dr. Mairet, prof. fakultetu przyrodniczego w Montpellier, ogłasza w sprawozdaniu swojem następujący objaw hallucynacyi. W szpitalu znajduje się od lat kilku w obserwacyi lekarskiej dziewczyna, której bezustannie się zdaje, że na jej suknie spadają złote monety i nikną w fałdach sukni. Iluzya ta wprawia dziewczynę w strach paniczny, gdyż zdaje się jej, że posądzoną zostanie o kradzież. Przy spojrzeniu na pewnego rodzaju meble, stan szału u niej nabiera takiego stopnia intenzywności, iż wydaje się jej, że urojone rzeczy widzi lub słyszy. Aby się uspokoić, zmuszoną jest chora uklęknąć, oczy zamknąć i głośno wszystkie przedmioty w sali się znajdujące wyliczyć. Gdy się jej następnie powie: „Niema już nic więcej", wtedy wstaje, obmywa ręce, wstrząsa się cała, jak gdyby się chciała uwolnić z przestrachu i uzyskuje na czas jakiś spokój.

Gdy się pierwsze objawy hallucynacyi u niej okazały, była jeszcze dzieckiem. Już wówczas, gdy jej co powierzono, okazywała nadzwyczajną skrupulatność. Gdy słów kilka wymówiła, zdawało się jej, że kłamstwo z ust się jej wymknęło. Gdy pewnego razu pachołek magistracki ogłaszał, że ktoś zgubił złotą bransoletę, wtedy opanował ją szał, iż bransoleta owa na jej sukni się zatrzymała i że można ją o kradzież posądzić. Od tego czasu datują się u niej napady hallucynacyi.

Zawsze zadowolniony.

Iks żeni się... podobno niekoniecznie z miłości.

— Słuchajno, Iksie, podobno twoja narzeczona ma jednę nogę krótszą?

— O, wielkie rzeczy! — odpowiada Iks — za to ma drugą nogę dłuższą!

Na białogłowy.

Często wody głębokie wskróś przejrzeć oczyma,
Często płytkie na łokieć, a zdasię, dna nie ma,
Tak się falą po wierzchu maskują obłudną.
Białogłowy! czyż dziwna, że przejrzeć was trudno?

Teatr. Dziś we środę (dnia 4go stycznia) w teatrze hr. Skarbka o godzinie 7mej wieczorem: „Powietrze wielkomiejskie", komedya w czterech aktach Oskara Blumenthala i Gustawa Kadelberga. — Jutro we czwartek o godz. 7 wieczorem: „Angot", operetka w 3 aktach Lecocqa. — W piątek przedstawią artyści dramatu „Otella", z panem Żelazowskim w roli tytułowej.

W poniedziałek dnia 9 bm. wznowienie znakomitej komedyi Sardou p. t.: „Ćwiartka papieru".

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru**. Rok nowy zainaugurowała dyrekcya ładną, po literacku znakomicie napisaną, niestety jednak nie sceniczną sztuką Sewera (Maciejowskiego) p. t. „Dla świętej ziemi". Jest to szereg obrazów z życia ludu naszego, kreślony piórem wprawnem, dla ludu ciepłem, a natchnionem, że tak powiemy, tradycyjną i naturalną miłością ziemi naszej. W utworze tym zaznaczył autor „Pojedynku szlachetnych" tę piękną i dziś rzeczywiście będącą do zaznaczenia na dobie tendencyę, że dla utrzymania ziemi wiele czasem, bardzo wiele poświęcić należy, ale tendencyi tej nie przeprowadził w formie dramatycznej takiej, któraby mogła zadowolnić wymagania amatora dzisiejszego teatru.

W sztuce są bardzo ładne sceny, obrazy i epizody z życia ludu; ale całość nie da się zakwalifikować jako sztuka sceniczna. Mimo to jednak, utwór Sewera powinien się utrzymać w repertoarze sztuk niedzielnych, nietylko dla pięknej tendencyi i pogodnego poetycznego kolorytu, w jakim autor przedstawił sceny z życia ludu (Mazurów), ale także i dla wybornej gry naszych artystów, z których pp. Żelazowscy, Zboiński i Wysocki celują w tej sztuce jako przedstawiciele typów ludowych, a Fiszer ze znanem mistrzowstwem odtwarza postać żyda-karczmarza, tego złego ducha — świętej ziemi. *R. P.*

* **Z koncertem** wyjechał do Wiednia p. M. Wolfsthal, profesor lwowskiego konserwatoryum i znany zaszczytnie z estrady koncertowej skrzypek.

* **P. Zygmunt Przybylski** nadesłał dyrekcyi sceny lwowskiej najnowszą swą komedyę trzyaktową p. t. „Wejście w świat".

* **Kościuszko**. Pod tym tytułem rozpoczął p. A. Kostecki w Krakowie (ul. Karmelicka l. 1) wydawać pisemko, w którem wziął sobie za zadanie uczczenie pamięci tego bohatera, odszukiwanie i ogłaszanie materyałów do niego się odnoszących. Redakcya uprasza wszystkich, którzyby mieli jakiekolwiek listy lub pamiątki odnoszące się do Kościuszki, aby przysyłali dokładne ich odpisy i spisy.

* **„Mały światek"** i **„Światełko,"** wyborne pisemka dla dziatwy, złączyły się i razem będą odtąd wychodzić, a to w ten sposób, że „Światełko" stanowić będzie dodatek do „Małego światka" i podczas gdy pierwszy będzie przeznaczony dla najmłodszych dzieci, które nauczyły się dopiero czytać i pisać, to drugie znajdzie czytelników swych w kole dziatwy bardziej rozwiniętej i starszej. Noworoczny numer „Małego światka" jest ozdobiony ładną winietą i obrazkami i zawiera mnóstwo powiastek, wierszyków, komedyjkę itp. Prenumerata na oba pisma razem z dodatkiem powieściowym, wynosi rocznie 4 zł., to jest tyle ile przedtem kosztowało każde pisemko osobno.

* **Przegląd powszechny** rozpoczął dziesiąty rok istnienia. Zeszyt 1 za styczeń 1893 zawiera: — Korespondencya św. Ignacego Loyoli, przez ks. J. Badeniego. — Listy z podróży po Azyi, część II. Chiny i Japonia, przez ks. Pawła Sapiehę. — Opactwo St. Florian w górnej Austryi, przez ks. dr. Czesława Wądolnego. — Tomasz Olizarowski, przez M. Dubieckiego. — Luźne kartki z przeszłości Telsz, przez Wołyniaka. — Przegląd piśmiennictwa krajowego zagranicznego, z pism czasowych. — Sprawozdanie z ruchu religijnego i społecznego.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 2 stycznia.

(*Z.*). Z Nowym Rokiem wprowadzono na giełdzie naszej dwie ważne innowacye. Po raz pierwszy odbywał się dziś obrót giełdowy o pół godziny dłużej aniżeli dotąd, t. j. do kwadrans na 3cią i po raz pierwszy musiano dziś od wszelkich transakcyi opłacać podatek giełdowy. Od przedłużenia godzin urzędowych spodziewają się spekulanci znacznego zwiększenia się obrotów, gdyż giełda nasza będzie o pół godziny dłużej w kontakcie z giełdą berlińską i paryską i to właśnie w tej porze, w której na nich największy ruch panuje. Dziś jednak nie sprawdziły się te oczekiwania, w ciągu bowiem ostatniej pół godziny przyszło z Paryża i Berlina wszystkiego kilka depesz bez znaczenia. Jaki wpływ wywrze podatek giełdowy na targ nasz, to będzie można ocenić dopiero za kilka tygodni, dziś utrudniał on obroty przez to, że spekulanci nie obznajomili się jeszcze z jego formalnościami.

Napływ gotówki za kupon styczniowy był już dziś widoczny, kupowano dużo rent, akcyi i pryorytetów kolejowych, to też kurs ich uzyskał dosyć pokaźne zwyżki. Aby zapobiedz dalszemu drożeniu ceny złota ogłosił dziś zakład kredytowy, że ma znaczne zapasy monet złotych i oddaje je do dyspozycyi arbitrażowi po kursie dzisiejszym na tak długo, dopóki zapas starczy.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 314·60, węgierskie 362·55, Anglobanki 149·25, Uniony 237·50, Bankvereiny 114·50, Länderbanki 226·60, Ludwiki 218·50, Czerniowieckie 246·50, Renta papierowa 97·95, srebrna 97·50, austryacka złota 116·75, papierowa 100·40, węgierska złota 114·15, papierowa 100·35, dukat 5·64, 20-frankówka 9·59—, marki 11.82, rubel 1·20—.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła**. Na poniedziałkowy targ przypędzono 4039 sztuk bydła, a w tej liczbie z Galicyi 715 sztuk opasowych i 53 chudych; zatem o 548 mniej niż w zeszłym tygodniu. Nie sprzedano 261 sztuk.

Płacono: galicyjskie 52 do 63·00 zł., węgierskie 54—66·00 zł., z innych krajów koronnych 53 do 69·00 zł., krowy 14—29·00 zł., woły 00 do 00·00 za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 18 do 87 zł. za sztukę.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu**.

Kraków 3 stycznia.

Ze względu na trochę lepsze sprawozdania z targów zagranicznych, oraz na ciągły brak dowozów, właściciele zboża nie są skłonni do ustępstw, z drugiej strony jednak spekulacya trzyma się dotąd zdala od interesów, a młynarze nie spotykając żadnej konkurencyi, zdradzają ochotę obniżenia ceny. Bądź co bądź ceny tutejsze w stosunku do innych placów są jeszcze wcale dobre i na wywóz żadnego nie dają rachunku, lecz w tym stanie rzeczy obroty są małe i nie ma nawet widoków, żeby w najbliższym czasie w handlu zbożowym większy ruch mógł się rozwinąć.

Pszenicy sprzedano dzisiaj stosunkowo znaczną ilość, po cenach dotychczasowych, lecz wszystko *loco* stacye kolejowe.

Na żyto odbyt był mały i cena cokolwiek się obniżyła.

Jęczmienia nadchodzi obecnie więcej, więc sprzedaż jest trudną.

Owies dość poszukiwany.

Płacono: za pszenicę białą od 8·00—8·25, za czerwoną od 7·80—8·15, za żółtą od 7·80 do 8·15; za żyto od 6·65—6·90; za jęczmień browarny od 6·00—6·50, na kaszę od 5·45 do 5·60; za owies od 5·50—5·90, za rzepak od 11·40 do 11·90, za koniczynę czerwoną od 55 do 65, za białą od 65 do 75 zł. — wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Cena blachy cynkowej** spadła od Nowego roku o 2 zł. na cetnarze metrycznym.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 4 stycznia. (pryw.) Przybył tu prezes Koła polskiego p. Jaworski. Przywódcy wszystkich trzech stronnictw zaproszeni przez hr. Taaffego do narady nad programem przyszłej większości, zebrali się już.

Petersburg 4 stycznia. (pryw.) Na zjeździe nafciarzy kaukazkich w Rostowie nad Donem uchwalono jednogłośnie, iż wszyscy rosyjscy nafciarze będą solidarnie walczyli z Rotszyldem na wewnętrznych i na zagranicznych rynkach; natomiast między sobą nie będą wcale konkurowali ceną, a w tym celu będą wszystką swę naftę po ułożonej cenie sprzedawali Noblowi, a on będzie dopiero odsprzedawał publiczności.

Ministeryum spraw zewnętrznych postanowiło pomnożyć liczbę konsulatów i odtąd powierzać je tylko rosyjskim poddanym, gdyż się okazało, że cudzoziemcy nie dbają o interesa Rosyi.

Ministeryum spraw wewnętrznych pozwoliło na otworzenie w Sebastopolu stacyi kuracyjnej morskiej na wzór Ostendy.

W Kurlandyi otwarto nową cerkiew, dwudziestą czwartą z rzędu.

Mrozy trwają bez przerwy. Z powodu ich ustał wszelki ruch handlowy.

Belgrad 4 stycznia. Skupczyna rozwiązaną zostanie 5 stycznia starego stylu. Nowe wybory rozpisane zostaną na dzień 9 marca, a z początkiem kwietnia zbierze się nowa skupczyna.

Saarbrücken 4 stycznia. Liczba bastujących górników wynosi już 23.000.

Paryż 4 stycznia. Dzienniki półurzędowe donoszą, że rząd zdecydowany jest użyć jak najenergiczniejszych środków, aby nie dopuścić w dniu 10 stycznia do żadnych demonstracyi ulicznych ani w stolicy, ani na prowincyi.

Minister sprawiedliwości Bourgeois zachorował podobno niebezpiecznie. Zapewniają, że śledztwo wdrożone przeciw administratorom towarzystwa panamskiego ukończone zostanie między 10 a 15 stycznia.

Dziennik *Cocarde* donosi, że minister spraw wewnętrznych Loubet podał się do dymisyi i że to samo zamierzają uczynić ministrowie Ribot i Develle.

Wiedeń 4 stycznia. Od przedwczoraj wieczorem panuje zamieć śnieżna w mieście i w okolicy. Także z Preszburga, Budapesztu, Oedenburga i Gracu donoszą o gwałtownych zamieciach śnieżnych. W kilku miejscach przerwana jest komunikacya kolejowa, między innemi na kolei południowej między Lublaną a Tryjestem.

Wiedeń 4 stycznia. Dziś w południe prezes ministrów hr. Taaffe przesłał przewodniczącym trzech wielkich klubów w Radzie państwa ułożony przez rząd a w zasadzie przyjęty przez Cesarza projekt utworzenia większości parlamentarnej, z prośbą, aby go przewodniczący klubów odwiedzili i omówili z nim, w jaki sposób mają się toczyć dalej narady nad tą sprawą.

Paryż 4 grudnia. *Matin* donosi, iż doktorowie Ogier i Bordas znaleźli we wnętrznościach Reinacha ślady akonitu, ale znaleziono go w tak małej ilości, iż nie można przypuszczać, aby on był przyczyną śmierci.

Londyn 4 grudnia. Umarł główny rabin jerozolimski Fanidgi.

Kair 4 grudnia. Egipska jazda wielbłądowa, wysłana w pościgu za derwiszami, spotkała się z nimi w pobliżu Ambigalu. Straty z obu stron są bardzo znaczne; zginął angielski kapitan, egipski oficer i 45 żołnierzy.

Paryż 4 grudnia. *Eclair* oświadcza, oparty rzekomo na wiadomościach z autentycznych zasięgniętych źródeł, iż w gabinecie panuje największa zgoda. Floquet nie zrzekł się wcale kandydatury na prezesa izby.

Przyjechali do Lwowa

dnia 4 stycznia 1893.

HOTEL FRANCUSKI. R. Dukler z Wiednia. T. Fraenkel z Wiednia. A. Sulz z Podwołoczysk. H. Avers z Berlina. W. Stornche z Lipowca. Dr. M. Fraenkel z Czerniowic. M. Rechen z Czerniowiec.

HOTEL IMPERIAL. Hr. S. Jabłonowski z Wereszczanki. Ks. arcyb. Hryniewiecki z Rawy Ruskiej. W. hr. Romer z Ocieka. R. hr. Drohojowski z Krukienic. L. hr. Komar z Krakowa. A. Weydlich J. Bratkowski i M. Markowski z Kamieńca podolsk. D. Maliniak z Warszawy.

HOTEL ZORZA. W. Mierzeński z Dembowicy. W. Niezabitowski z Łanek. A. hr. Łoś z Wiednia. O. hr. Potocki z Bukowiny. L. hr. Hardegg z Żółkwi. A. Mysłowski z Zubrzca. J. Rosenstock z Rusiatycz.

Nadesłane.

Już od dawna istnieją w medycynie specyaliści i od niepamiętnych czasów wykonują lekarze praktykę w jednym tylko zawodzie. I tak jedni poświęcają się wyłącznie chirurgji, inni akuszerji, tamci znowu okulistyce itd. Naturalnem jest tego następstwem, że lekarz poświęcający się jednej tylko gałęzi medycyny w tejże się wydoskonalić może, jednak, że z drugiej strony jasnem jest jak na dłoni, że wszystkim się zawodom w dziedzinie medycyny poświęcać jest absolutnie niemożliwem. W ostatnich czasach sztuka lekarska tak się wydoskonaliła i takie olbrzymie postępy zrobiła, że medycyna sama znaczną ilość specyalistów wytworzyła, z których każdy w obranym raz zawodzie, przez całe życie pracować musi, aby się w nim wydoskonalić. Dotychczas nie znalazł się jeszcze taki genjusz uniwersalny, któryby się wszystkim zawodom w dziedzinie medycyny oddawał i trudnem jest nawet przypuszczenie, że się taki genjusz kiedykolwiek znajdzie. Genjuszem i dobrym lekarzem jest ten, który obrawszy sobie jeden specyalny zawód w nim się kształci i wydoskonala, przez co cierpiącej ludzkości prawdziwe oddaje usługi. A jednak zdarzają się wypadki, o których się filozofom nie śniło. Znalazł się bowiem taki „Genjusz od wszystkiego", który obok chirurgji oddaje się okulistyce akuszeryi i nawet dentystyce. Genjuszem tym jest Dr. Mosskowicz w Tarnopolu, który widocznie stara się o tytuł „cudownego lekarza".

74 1—1

Telegram giełdowy

Wiedeń dnia 4. Stycznia godz. 2. min. 00.

Akcye kred.	315·25	Węg. kolej półn. wschodn.	—·—
Alpiny	51·70	Wiedeńskie losy kom.	164.—
Kredyty węg.	363·—	Akcye tytoń.	166·25
Anglobanki	149·—	Gal. obl. indem.	105·10
Uniony	239.50	Elbethale	227·—
Ludwiki	218·75	Landerbanki	228·10
Nordbany	282.—	Renta zł. węg.	114·13
Lombardy	89·75	Bankvereiny	115·25
Losy tureckie	44·70	Renta węg. p.	100·42
Staatsbahny	292·75	Ruble	120·37
Czerniowieckie	248·—		

Usposobienie osłabione.

Lwów Z Izby handlowej 4 stycznia 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą		żądają	
Kolej gali.. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	217	—	220	—
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	245	—	248	—
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	338	—	—	—
„ kredyt. galic 200 zł. w. a.	—	—	215	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% 40 „	100	80	101	50
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	108	—	108	70
Banku hip. 4½% wa. lok. w 50 lat.	98	35	99	05
Banku krajowego 4½% wa.	99	25	99	95
Tow. kred. galic. 4% r. okr.	96	50	97	20
„ „ „ 4% „ 41½	95	20	95	90
„ „ „ 4½% „ 52 l.	100	10	100	90
„ „ „ 4 „ 58	94	70	95	40
3. Listy dłużne za 100 zł.				
Z. G. kr. wł. (daw. 6%) 3% w likw.	—	—	—	—
„ „ „ (daw. 6%) 2½% „	50	—	—	—
4. Obligi za 100 zł.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	80	105	50
Galic. fund. propinacyjnego 4%	96	30	97	—
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	101	50	102	20
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	101	—	101	70
Pożyczka kraj. z r. 1873 z pr. w. a.	103	50	—	—
„ „ „ 1883 4½%	92	60	93	20
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	23	50	25	50
„ „ Stanisławowa	36	—	—	—
6. Monety.				
Dukat holenderski	5.67		5.77	
Napoleondor	9.57		9.67	

Ruch pociągów kolejowych

ważny od dnia 1 maja 1892 r. według zegaru lwowskiego

Przychodzą do Lwowa	p. poc.	p. posp.	p. osob.	p. osob.	p. osob.	p. [illegible]
Z Krakowa	6^{01}	2^{50}	9^{10}	6^{46}	9^{32}	
Z Muszyny-Krynicy via Tarnów			9^{01}			
Z Podwołoczysk i Brodów (na dworzec główny)		2^{57}	9^{40}	7^{21}		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworzec Podzamcze	.	2^{45}	9^{17}	6^{51}	.	
Z Suczawy	10^{09}	.	7^{56}	1^{42}	7^{06}	
Z Kimpolunga	$10^{0?}$	.	7^{56}		.	
Z Radowiec	10^{09}	.	7^{56}	.	7^{06}	
Z Hliboki	10^{09}	.	.	.	7^{06}	
Z Nowosielicy	.	.	7^{56}	.	7^{06}	
Z Słobody rungurskiej	10^{09}	.	.	1^{42}	7^{06}	
Z Husiatyna via Halicz	10^{06}		.	1^{41}	.	
Z N. Sącza, Chyrowa, Stanisławowa i Stryja	.	.	9^{16}	2^{35}	.	
Z Suchy, N. Sącza, Chyrowa, Stanisławowa i Stryja	.		9^{16}	.		
Z Chyrowa, Stanisławowa i Stryja			.		1^{41}	
Z Pesztu, Miskolcza, Munkacza, Ławocznego i Stryja	.		$9^{?}$		1^{41}	
Z Sokala i Bełzca	.	.	.	.	.	4^{48}
Z Sokala i Rawy ruskiej				.	.	8^{32}
Odchodzą ze Lwowa:						
Do Krakowa	10^{41}	8^{07}	5^{26}	11^{01}	7^{36}	
Do Muszyny-Krynicy via Tarnów				.	7^{56}	
Do Podwołoczysk i Brodów (z dworca głównego)	2^{59}		9^{41}	10^{26}	.	
Do Podwołoczysk i Brodów (z Podzamcza)	3^{10}	.	10^{02}	10^{52}	.	
Do Suczawy	6^{36}	.	9^{56}	8^{22}	10^{56}	
Do Husiatyna via Halicz	6^{36}	.	.	8^{22}	.	
Do Słobody rungurskiej	6^{36}	.	9^{56}	8^{22}	10^{56}	
Do Nowosielicy	6^{36}	.	9^{56}	.	10^{56}	
Do Hliboki	6^{36}	.	9^{56}		.	
Do Radowiec	6^{36}	.	9^{56}	.	10^{56}	
Do Kimpolunga	6^{36}	.		8^{22}		
Do Stryja, Chyrowa, N. Sącza i Suchy	.	.	6^{16}	10^{21}	7^{41}	
Do Stryja i Stanisławowa				10^{21}	7^{41}	
Do Stryja, Ławocznego, Munkacza, Miskolcza i Pesztu	.	.	6^{15}		7^{41}	
Do Bełzca i Sokala	.					7^{51}
Do Sokala i Rawy Ruskiej	.					9^{36}

Uwaga: Godziny podkreślone linijką oznaczają porę nocną od godz. 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

117)

MATKA I MĘCZENNICA

POWIEŚĆ

przez

Pawła d'Aigremont.

Tłumaczona przez Leopolda Czaplińskiego.

(Ciąg dalszy).

I po tych słowach wyszedł z pokoju, pozostawiając ją prawie osłupiałą.

Zamówienie na dwanaście tysięcy franków i do tego stanowiące przynajmniej dziesiątą część tego, co miał jeszcze kupić! Ależ to od razu poprawiło ich sytuacyę i zapewniało byt! Byt, to jest możność rozpoczęcia kuracyi dziecka i wysłania go z Paryża na zdrowe powietrze wiejskie.

A przytem leczyć je będzie i zapewne wróci mu zdrowie ten dr. Sintely, cieszący się taką sławą, zwłaszcza w chorobach piersiowych!..

Pobiegła jak waryatka do pokoju chorego dziecięcia.

— René, skarbie mój!.. — wołała od progu.

Z łóżeczka żelaznego, pokrytego białą jak śnieg pościelą, wysunęły się naprzód drobne rączęta, następnie podniosła się główka o czerwonej, zalanej łzami twarzy.

— Niedobra mama, opuszcza mnie, gdy ja cierpię, i nie przychodzi, gdy wzywam!.. — rzekło dziecię głosem niby to gniewnym, ale serdecznym jak pieszczota, zdradzającym głębokie przywiązanie do matki.

Było to dziecię sześcioletnie, szczupłe i zanadto na swój wiek drobne, w którego pięknych, głębokich oczach przebijała się wielka inteligencya. Oparło główkę na ramieniu matki, która poczęła okrywać ją pocałunkami.

— Dlaczego, mateczko, nie przyszłaś do mnie, kiedy ja tak dawno prosiłem?..

— Dziecię moje biedne — odrzekła z westchnieniem — wiesz, że od niejakiego czasu jesteśmy bardzo ubodzy. Od pół roku interesa nasze tak źle idą, że prawie nie mamy z czego żyć. Nagle przybył kupiec i poczynił zamówienia tak wielkie, że zarobek z tej sprzedaży stanowić będzie dla nas prawie majątek.

— Ah! — odrzekło dziecko zamyślone — więc to podczas rozmowy z nim ja wzywałem mamę?

— Tak, mój skarbie.

— A dla czego ojciec nie powiedział mi o tem?

— Wszak wiesz, że ojciec nigdy nie mówi wiele.

— Mówiłem ci przecież, że matka twoja zajęta.

— Czy brałeś lekarstwo? — zapytała Regina.

— Nie chciał brać bez ciebie.

— No, to weź teraz — rzekła i nalała z buteleczki łyżeczkę płynu.

— Kiedy gorzkie — odrzekł René, odwracając głowę — i nic nie pomaga.

— Wypij aniołku, ono złagodzi ci kaszel. Później na kilka godzin zaśniesz, a gdy się przebudzisz pójdziemy na skwer, wieczorem zaś przybędzie lekarz.

— I on mnie wyleczy? i będę oddychał jak wszystcy ludzie?

— Wyleczy cię z pewnością, tembardziej, że będziemy teraz mieli pieniądze i będziemy mogli spełnić wszystko co poleci.

Dziecko usłuchało matki, przyjęło lekarstwo i powoli uspokoiło się. Wkrótce powieki jego przymknęły się, oddech stał się równiejszym i zasnęło.

— Czy wiesz, Klemensie — odezwała się Regina — że trafiło nam się dzisiaj zamówienie bajeczne, które uczyni nas tak zamożnymi, jak nie byliśmy nimi dotychczas nigdy.

Były lokaj spojrzał w książeczkę, w której zapisane były zamówione towary.

— Od dwunastu do trzynastu tysięcy franków — rzekł po obrachowaniu. — Suma ładna jak na jednorazową, ale potrzeba byłoby takich interesów więcej byśmy wypłynęli na wierzch.

— Ależ pan Stambeff nie poprzestanie na tem. Jestem przekonana, że on weźmie jeszcze towaru na dziesięćkroć większą cyfrę.

— Dziesięćkroć większą! — zawołał Klemens zdumiony.

— A tak. Kazał mi odejść do dziecka, ale oświadczył, że zamówi jeszcze wyprawę dla księżniczki i żądał, bym mu przedstawiła w końcu tego tygodnia najpiękniejsze wzory ubrań dziecinnych. Zamówienie więc, jak widzisz, będzie ogromne, a że pomimo wyznaczenia dość wysokiej ceny nie targuje się wcale i żąda najlepszych materjałów, możemy więc mieć do pięćdziesięciu procent czystego zysku.

— A ty tymczasem zabijesz się pracą. Ja cię znam, zechcesz sama zrobić wszystko.

— Wszystko — nie, ale co tylko będę mogła. Cóż znaczy praca, choćby najcięższa, skoro tylko możemy dojść do celu? Aby tylko nie walczyć z sytuacyą bez wyjścia, nie widzieć przed sobą widma grożącego bezustannie bankructwa i zdobyć środki do kuracyi dziecka!... Czyż sądzisz, że to nie warte pracy choćby bezsenności nocnej?

— A jednak, moja biedna Regino, musze przypomnieć, że wszystko posiadalibyśmy bez trudu, gdybyś była chciała. Potrzeba było tylko pójść do księżny i przypomnieć jej obietnicę.

— Przestań, ani słowa więcej, błagam cię. Jeżeli mnie kochasz, nie mów nigdy o tem.

— Jeżeli cię kocham!... Czyż możesz wątpić choć na chwilę? Ale to uwielbienie, jakie mam dla ciebie od chwili poznania, jest niczem w porównaniu z uczuciem, jakiem przyjęty jestem, gdy patrzę na cię pracującą z uśmiechem.

— A więc niech nazwisko tej przeklętej księżny de Roquebrune nigdy nie będzie między nami wspomniane. Od dnia, w którym wróciła mi wolność, za którą tak drogo kazała sobie zapłacić, moglibyśmy mieć pieniądze, prawda. Moglibyśmy urządzić nasz zakład na większą skalę, oprzeć na fundamencie pewniejszym i doświadczać powodzenia, jakiem cieszą się inni.

— Sama kilkakrotnie proponowała, a tyś zawsze odmawiała — mówił Klemens z widoczną pobłażliwością dla córki swej dobrodziejki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** — Papier braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca Walenty Hodak.